Nr. 30. Lwów, Niedziela dnia 24. Marca 1878 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

MIĘDZY LUDŹMI.

POWIEŚĆ

przez

Bolesława Prusa.

(Ciąg dalszy.)

V.

Co się stało w Warszawie.

Pani Wincentowa jechała do Warszawy z najlepszemi nadziejami. W ciągu siedmioletniego pobytu na prowincyi, zapomniała o doznanych tam kłopotach i nauczyła się patrzeć na miasteczko nasze przez okulary różowe. Warszawę, w opinii całego kraju otacza jakaś aureola pomyślności, oświaty i miłosierdzia. Wiejskie dziady po odpustach z uszanowaniem odzywają się o dziadach warszawskich, którzy według nich zarabiają tysiące, a niekiedy są właścicielami kamienic. Majętniejszy obywatel ziemski we śnie i na jawie marzy o tem, aby mógł kiedyś zimę przepędzić w Warszawie, a przynajmniej kształcić dzieci w tamtejszych pensyonatach. Uboższy szlachcic, który usiłuje przytłumić w sobie wstręt do hebla i kowadła, tylko warszawskiemu rzemieślnikowi z ufnością powierza syna.

A cóż dopiero mówić o wszelkiego rodzaju biedakach, poszukujących pracy lub pomocy. Niejeden i niejedna z pośród tych, którzy na prowincyi łatwo utrzymać by się mogli, rzuca rodzinny kąt i śmiało jedzie do Warszawy. Nie ma znajomych, ani pieniędzy, wierzy jednak w to niezachwianie, że byle tylko przejechał rogatkę, a bardziej jeszcze most żelazny, wówczas mnóstwo instytucyi i tysiące osób dobroczynnych pospieszy na wyścigi z protekcyą, pieniędzmi i radą.

Człowiek, który w miasteczku powiatowem, pobierając kilkaset złotych pensyi, mieszkał obok budowniczego, pewnym jest, że w Warszawie nazwą go technikiem i ofiarują tysiące rubli. Inny, który przez ciąg kilkudziesięcioletniego życia nie mógł zrobić ani grosza oszczędności i na starość dotknięty został paraliżem, błaga znajomych, aby go wysłali do świętego miejsca, gdzie z paraliżu zostanie wyleczonym i na resztkę dni znajdzie skromny, lecz spokojny i wygodny przytułek.

Podobne projekty snuła sobie i pani Wincentowa. Była pewną, że dobrzy ludzie pomogą jej, gdy im opisze swoje położenie i rzeczywiście niepospolite zdolności Jasia. Przy pomocy nieznanych protektorów i odrobinie własnych pieniędzy miała zamiar otworzyć magazyn. Ponieważ handel z konieczności (nie wiadomo jakiej?) musiałby jej iść dobrze, wzięłaby więc najlepszych nauczycieli do Jasia, który z kolei rzeczy zostanie znakomitym inżynierem, zrobi olbrzymi majątek i tak dalej!...

Marząc tak i z miłością wpatrując się w różową twarz i pół otwarte usta zadumanego chłopczyny, uśmiechała się biedna matka. Szczęśliwa! stokroć szczęśliwa! że przed oczyma jej duszy zakryte były bolesne dzieje, z których ręka przeznaczenia po jednej głosce z biegiem czasu odsłaniać miała...

Zaledwie wdowa stanęła na bruku warszawskim, wnet spotkały ją rozczarowania. Dawni znajomi, z których wielu dorobiło się majątku, z trudnością przypominali sobie jej nazwisko, z lodowatym choć grzecznym uśmiechem przysłuchiwali się jej projektom, a natomiast bardzo wiele mówili o swoich kłopotach i o osobach, któremi opiekować się muszą. Głośni na cały kraj filantropowie byli wiecznie chorzy i zajęci, ci zaś, którzy już nie mogli się wykręcić od obietnicy protegowania wdowy, na widok jej ślinili się i kurczyli, jak ślimak szpilką kłuty.

W końcu po długiej dreptaninie i wielu upokorzeniach, po zjedzeniu zapasów i wydaniu pieniędzy na wsi zaoszczędzonych, udało się niebodze wynaleźć kilka rodzin, które jej robotę do szycia powierzały. Praca to była ciężka, a zapłata licha. Ażeby zarobić rubla dziennie, należało przez kilkanaście godzin nie wstawać od maszyny lub stolika. Najczęściej też zdarzało się, że damy, w wykwintnych mieszkające salonach, po całych tygodniach i miesiącach nie zwracały jej z takim wysiłkiem zapracowanych kilku rubli. Inne wypłacały ratami, tygodniowo po parę złotych, na które przez długie godziny trzeba było wystawać w przedpokoju. Jeszcze inne, zupełnie nie płaciły, a nawet wymyślały i zakazywały służbie puszczać do domu natrętną...

O piękne damy! raczcie wierzyć, że nie wszystko daje się ukryć w garderobie lub przedpokoju. Są oczy, które na błyszczących *dżetach* lub *dolmanach* i zalotnie zwieszonych piórach kapeluszy, widzą ślady łez; są uszy, które w drażniącym szeleście waszych sukien jedwabnych słyszą skarg głosy. Strzeżcie się tych dodatków, które zamiast stroić, opasują was jak węże i na zalotną piękność waszą złowrogie rzucają cienie!...

Mimo to, wdowa nie traciła nadziei, lecz pracowała, pocieszając się myślą, że wkrótce pocznie robić oszczędności na najlepszych nauczycieli dla Jasia. On tymczasem od rana do wieczora pisał, uczył się i czytał przy klekocie maszyny, a najsmaczniej spał pod wpływem światła lampy i monotonnego łoskotu. Niekiedy łoskot ten słabnął, ustawał, znowu się potęgował, znowu słabnął i wreszcie milknął zupełnie. Wówczas zdziwiony Jaś budził się nagle i przy pomięszanem świetle dogorywającej lampy i wschodzącego słońca, spostrzegał matkę. Siedziała ona ubrana, z głową zwieszoną i przymkniętemi oczyma. Ręce jej opadły bezwładnie, oddychała szybko, a na twarzy jej paliły się gorączkowe rumieńce.

— Mamo! — wołał wtedy Jaś, — dla czego mama nie śpi?...

Budziła się i odpowiadała z uśmiechem.

— Bo mi się jakoś nie chce...

Wówczas omdlałe ręce jej biegły znowu do przerwanej roboty, sztywne nogi poruszyły się. Lecz w kilka chwil potem opanowywało ją znużenie, potężniejsze od widma nędzy i głosu dziecka.

Ale im gorliwiej pracowała, im dłużej siadywała po nocach, tem bardziej zmniejszały się jej zarobki. Niekiedy na opędzenie całotygodniowych potrzeb, miewała jednego rubla. Wówczas oprócz mleka, które wraz z Jasiem piła na śniadanie i talerza zupy na obiad, nie jadła nic więcej. Czasami przy tych obiadach, napadała ją wielka ochota na mięso; zdawało się, że sam widelec pociąga jej rękę do małego kąska pieczeni. Lecz i wówczas umiała się jeszcze pohamować.

— Dlaczego mama nie je mięsa? — pytał Jaś.

— Nie mam ochoty! —odpowiadała. — Pewnie musi być twarde i niesmaczne.

— Gdzież tam, jest mięciutkie i doskonałe. Słyszy mama jak pięknie pachnie?...

Tymczasem czuła ona dobrze zapach mięsa, lecz mimo to nie jadła. Na drugi dzień też samą porcyjkę odegrzaną, bez żadnej zupy i jarzyny dostawał Jaś na obiad, który jego matka zastępowała sobie kawałkiem chleba.

— Jaś, widząc to, odkładał widelec i ze smutkiem pytał:

— Dlaczego dziś mama nie je obiadu?...

— Suszę moje dziecko!

A potem dodawała z uśmiechem: Nie na to człowiek żyje, aby jadł, ale na to je, aby żył.

Odtąd Jaś coraz częściej słyszał to przysłowie, a wdowa coraz widoczniej nędzniała i traciła siły. Nareszcie pewnego wieczora, uczuła mocny ból i zawrót głowy, dostała gorączki i położyła się.

Na drugi dzień symptomata chorobliwe wzrosły, i wdowa wstać z łóżka nie mogła. Szczęściem, tego dnia odesłano jej kilka rubli za robotę, za które to pieniądze karmiła blisko przez dwa tygodnie Jasia i swoją najemnicę, starą Maciejowę. Sama żyła tylko herbatą i wodą.

Choroba ta mniej ją niepokoiła, niżliby się zdawać mogło. Dzięki silnej gorączce, wdowa codzień czuła się pozornie zdrowszą i twierdziła że „jutro“ wstanie.

— Tyle mam roboty!... — mawiała nieraz — kiedy ja to pokończę?...

W rzeczywistości jednak roboty nie było żadnej.

Pewnego dnia, Maciejowa, jak zwykle, przyszła po pieniądze do miasta. Chora wydobyła woreczek z pod poduszki, otworzyła go i poczęła w nim pilnie szukać. Zbliżała go do oczu, zdziwiona, wytrząsała nad kołdrą, lecz ztamtąd nie wypadło nic, bo już nic nie było.

Nagle uderzyła się w czoło i z śmiechem zawołała:

— Ach! jakaż ze mnie gapa... Zapomniałam, że te dziesięć rubli wziął do zmienienia pan Anzelm.

— Pana Anzelma tu nie było... — rzekł przerażony Jaś.

Wdowa uśmiechnęła się i kiwnęła ręką.

— Maciejowo! co mamie jest... — szepnął bardziej jeszcze strwożony Jaś wychodzącej najemnicy.

— Majaczy z choroby. To takie *planety* przechodzą... — odparła staruszka i wyszła.

Chłopiec rzucił się z płaczem do matki.

— Moja mamo!... moja mamo!.. — wołał całując ją po rękach... — Mama taka chora!

Matka, ciągle uśmiechając się, wzruszyła ramionami.

— Zdaje ci się tylko!.. Byłam trochę osłabiona, ale mnie wzmocnił ten buljon... Daj mi pić!

Jaś jej podał szklankę wody.

— Z jakim to sokiem?.. pewnie z porzeczkowym... Dyż! dyż... gołąbki...

Szklanka z resztą wody upadła na ziemię.

. . . .

Nie na to człowiek żyje, aby jadł, ale na to je, aby żył.

. . . .

Tymczasem Maciejowa, w pogadance ze stróżem powiedziała, że pani jej wpadła widać w tyfus z głodu i że w domu nie ma kawałka chleba. Stróż powtórzył to jednemu z lokajów, a lokaj służącej państwa Karolów, ludzi majętnych i miłosiernych. Państwo Karolowie nie mogli tego przenieść po sobie, aby ktoś, mieszkający z niemi pod jednym dachem, umiera, z głodu; złożyli więc na prędce małą radę familijną, postanowili ratować biedaków.

Jakoż w parę godzin po odejściu najemnicy, kiedy zrozpaczony Jaś, klęcząc przy łóżku nieprzytomnej matki, z wielkim płaczem błagał Boga o ratunek, otworzyły się drzwi i do izdebki ich wszedł jakiś poważny jegomość ze służącą. Przybysz uspokoił zdziwionego Jasia, obejrzał i opukał chorą i zapisawszy receptę, oddał ją służącej. Niedługo potem przyniesiono obiad dla Jasia i lekarstwa dla chorej. Na drugi dzień, nieznany dobroczyńca polecił Maciejowej nie odstępować od chorej, zjawił się znowu poważny jegomość, a potem znowu lekarstwa i jedzenie.

Jaś nie pytał o sprawę tego wszystkiego, wiedząc, że był nim Bóg, który wysłuchał sierocą modlitwę. Choć zatem matka była coraz bardziej nieprzytomną, chłopczyk już się nie martwił.

Jednego dnia obudził się bardzo wcześnie, zaraz po wschodzie słońca. Stara Maciejowa zmęczona spała na kuferku prawie zwinięta w kłębek. Jaś na palcach zbliżył się do chorej i oto co ujrzał:

Matka jego leżała wpół odkryta. Czarne jak węgiel usta jej, były otwarte, ręce gwałtownie wyciągnięte nad głową i zaciśnięte pięści...

Na ten straszny widok, Jaś uczuł dziwne jakieś ciepło, szum w uszach, nie wydawszy jęku, zemdlony upadł na ziemię.

. . . .

Nie na to człowiek żyje, aby jadł!

VI.

Pewien typ ludzi uczciwych.

Pan Karol, wysoki, przystojny, brunet, średniego wieku, był o tyle majętnym, że z procentu od kapitałów pomieszczonych w papierach, mógł utrzymać przyzwoicie swoją rodzinę, używać drobnych przyjemności, pomagać ludziom i jeszcze coś z dochodów odłożyć.

Życie pana Karola, obok żony ładnej i wesołej blondynki, tudzież dwu synów: Edzia i Tadzia, którzy już byli w drugiej klasie, płynęło bardzo spokojnie. Namiętności nie miał żadnych, potrzeby zaś (naturalnie w granicach wygód i dobrego smaku), były nader skromne. Jako jednostka moralna, pan Karol był uosobioną miłością. Kochał on rodzinę, społeczeństwo, naturę i sztukę, a oprócz tego, na tak szerokiem tle miłości umiał się entuzjazmować do przedmiotów pojedyńczych.

W ciągu jednego tygodnia pragnął założyć wzorowe pismo, następnie gotów był pomódz jakiejś ubogiej rodzinie, a później znowu częścią swego majątku przyczynić się do zaprowadzenia kanalizacyi w mieście. Za każdym razem entuzjazm jego szybko wznosił się do wyżyn, a następnie zwolna opadał. Pan Karol był idealistą, w duszy więc jego ciągła toczyła się walka pomiędzy doskonałymi ideałami a niedoskonałą rzeczywistością.

Dowiedziawszy się o smutnym stanie wdowy, pan Karol pomógł jej natychmiast, projektując sobie, że musi stanowczo byt jej zabezpieczyć, skoro biedaczka powróci do zdrowia. Gdy zaś wdowa umarła, szlachetny jej dobroczyńca uważał za najświętszy obowiązek wziąć Jasia do swego domu. W tej chwili wolałby raczej stracić połowę majątku, aniżeli pozwolić na to, ażeby miły i tak nieszczęśliwy chłopczyk znalazł się bez chleba i dachu.

Jakoż w dzień śmierci matki Jaś znalazł się w mieszkaniu nowego opiekuna. I podczas gdy pan Karol biegał po mieście w sprawie pogrzebu nieboszczki, pani Karolowa własnoręcznie obszywała surducik Jasia białą taśmą, a synowie jej w swoim pokoiku układali jego książki, ustawiali kuferek i łóżko.

Gdy Jaś wraz z całą rodziną dobroczyńcy powrócił z pogrzebu, pan Karol rzekł:

— Moje dziecko! wprawdzie Bóg ciężko cię doświadczył, ale nie opuścił. Straciłeś kochaną matkę, lecz zarazem w nas oto tu obecnych zyskałeś nową rodzinę...

Słysząc to sierota, zapuchniętą od płaczu twarz zasłonił rękami i głośno zaszlochał. Wtedy pan Karol powstał z fotelu i całując go w głowę, uroczystym głosem przemówił te słowa:

— Jasiu!.. przyjmuję cię za syna.

Z kolei zbliżyła się pani Karolowa, znowu pocałowała w głowę sierotę i powtórzyła za mężem:

— Jasiu, przyjmuję cię za syna.

Obecni przytem chłopcy znowu po kolei przystępowali do Jasia i całując go w oba policzki, mówili jeden po drugim:

— Jasiu, przyjmuję cię za brata.

Poruszająca ta scena dziwnie oddziałała na Jasia. Przy pierwszym pocałunku chciał upaść do nóg panu Karolowi, przy drugim doświadczył zdziwienia, a przy ostatnim przestał nagle płakać. Serce i płuca skurczyły mu się tak boleśnie, że nie mógł tchu pochwycić. Każdy następny pocałunek był dla niego owym ogromem szczęścia, który na istotę ludzką spada z tak wysoka, że ją rozmiażdżyć może.

Dokonawszy ceremonii adoptowania nowego członka rodziny, państwo Karolowie spojrzeli na siebie z zachwytem, a ich chłopcy ze zdumieniem. Ponieważ jednak obaj byli dobrze wychowani, milczeli więc, wierząc, że w ich oczach trafił się fakt bardzo dobry i uroczysty.

Edzio i Tadzio, jako rodzeni bracia, kłócili się ze sobą a nawet czubili niekiedy. Czuli jednak instynktownie, że między nimi a nowo kreowanym braciszkiem istnieje wielka różnica. Choć więc żaden z nich nie okazywał drugiemu zbyt wyrafinowanej uprzejmości, Jasia

jednak odrazu traktowali dziwnie uprzejmie. Przy herbacie, ku wielkiemu zadowoleniu rodziców, usługiwali mu na wyścigi, a gdy się kładł spać, chcieli go prawie rozebrać i ułożyli mu rzeczy na stołku, co każdy z nich nawet samemu sobie robił niechętnie.

Około północy, gdy już państwo Karolowie zamyślali o spaniu, w pokoju chłopców rozległ się stłumiony krzyk dziecięcy:

— O mamo!.. mamo!

Usłyszawszy to, pani Karolowa wybiegła z sypialni, a pan Karol ze swego gabinetu. Zetknęli się oboje.

— Kto to wołał?.. czy które z naszych dzieci? — spytała niespokojnie pani.

— Nie... To ten.. Jaś — odparł mąż.

— Ach! on...

— On także nasz!... — zauważył z dobrotliwym uśmiechem pan Karol.

Pani Karolowa z rozczuleniem spojrzała mężowi w oczy, i objąwszy go rękoma za szyję, oparła mu na ramieniu piękną główkę i szepnęła:

— Jakiś ty dobry, mój Karolu!.. Jakiś ty szlachetny.

Dziwna rzecz jednak! Ten pełen uwielbienia okrzyk, zamiast zachwycić obudził w sercu pana Karola uczucie lekkiego kłopotu. Szczerze byłby rad, gdyby mu żona nie wypominała szlachetności. Niesmaczne to jednak uczucie Karol przypisał zmęczeniu i senności. Kłopot jednak pana Karola zwiększył się jeszcze w ciągu dni następnych. Dom jego ciągle był pełen gości, którzy ciekawie przypatrywali się Jasiowi i pytali o jego historyę. Dowiedziawszy się zaś o przyjęciu sieroty za syna, pod niebiosa wynosili zacność pana Karola i jego małżonki.

— Naturalnie, że odda go pan do szkół? — zapytała jedna z dam.

— No, ale chyba do udziału w majątku nie przypuścisz go; skrzywdziłbyś własne dzieci! ostrzegała jakaś krewna.

Pan Karol słuchał, milczał, lecz potniał, szczególniej gdy żona jego, przed bardziej zaufanemi osobami opisywała wzruszającą ceremonję adoptacyi.

Po upływie paru tygodni odwidził ich domowy lekarz, który zauważył, że w pokoju dziecinnym jest za ciasno i że należy jednego z chłopców usunąć. W pierwszej chwili pan Karol chciał Edzia przenieść do garderóbki, ponieważ jednak była to epoka egzaminów, a Edzio i Tadzio musieli się razem uczyć, przeniesiono zatem Jasia.

Dla Jasia zmiana lokalu była prawdziwem szczęściem. Odtąd mógł większą część dnia przepędzać w garderóbce i nie kręcić się między osobami, dla których czuł wiele szacunku i wdzięczności, lecz których zarazem wstydził się i obawiał. Nie umiał jakoś siadać na eleganckich krzesłach, nie umiał chodzić po woskowanej posadzce; często nogi zaplątywały mu się dywanami, niekiedy coś tłukł a przynajmniej wywracał.

Służba nie wiedziała, jak przemawiać do niego, a on jak mówić do państwa Karolów. Wizyty przestraszały go, przy jedzeniu tracił apetyt. Słowem, biedny sierota, wśród wszelkich oznak życzliwości, czuł się zgnębionym, nie umiał myśleć, i onieśmielał się coraz bardziej i dziczał.

Państwo Karolowie dziwili się też niejednokrotnie, że chłopiec w jego wieku może być tak roztargnionym i ponurym i że w najdrobniejszej rzeczy posłużyć się nim nie podobna.

Pewnego dnia przyszedł do pana Karola jego znajomy człowiek odznaczający się ironią i czarnymi poglądami na świat.

— Cóż to — zawołał gość — niebo jak słyszę, obdarzyło cię trzecim synem?

— A tak! — odparł ze słabym uśmiechem pan Karol.

— W mieście mówią, że chłopak ładny i bardzo do ciebie podobny...

Pan Karol aż zarumienił się z oburzenia.

— Mógłbyś nie powtarzać mi podobnych bredni! — odezwał się do pessymisty.

Nastała chwila milczenia; gość zapalił cygaro i mówił dalej:

— Dobre to jest miłosierdzie, mój Karolu, byle nie przesadzone. Żeś chłopca wziął, nic w tem złego, ale w rozpieszczaniu go nie ma sensu. Gotów w końcu zapomnieć, że jest sierotą i potrzebuje sam dbać o siebie.

— Cóż więc mam robić? — przerwał pan Karol.

— Oddać do rzemiosła! — odparł gość. — Jeżeli chcesz zarekomenduję ci znakomitego krawca...

Idea ta, bez względu na sposób w jaki ją podano, podobała się panu Karolowi. Wieczorem więc rzekł do swej żony:

— Wiesz co Maniu, że wartoby pomyśleć o przyszłości naszego wychowańca.

— I ja tak sądzę — odpowiedziała pani krótko.

— Jest on biedny, ze sprzedaży po matce zebrało się ledwie kilkadziesiąt rubli... Z drugiej znowu strony kraj potrzebuje zdolnych rzemieślników...

Pani aż klasnęła w rączki.

— Wyborny projekt! — zawołała.

— Oddamy go — mówił dalej — do uczciwego majstra, zgodzimy nauczyciela, będziemy w święta przyjmować go u siebie. Chłopiec się ukształci i ogładzi, a gdy wyrośnie na porządnego człowieka, otworzymy mu warstat...

— Cudownie!.. pysznie!.. — potakiwała pani.

— Jak nam to miło będzie powiedzieć sobie kiedyś, żeśmy społeczeństwu dali użytecznego członka...

— Ależ tak!.. tak!..

— Tylko... — dodał pan — jest zbyt młody i musi u nas jakiś czas jeszcze pomieszkać.

Pani nie odpowiedziawszy nic na to, zapytała po chwili:

— Do jakiegoż rzemiosła oddasz go?

— Do... do krawca myślę...

Małżonkowie spojrzeli sobie w oczy. Pan Karol wiedział, że krawiec w opinii jego żony, był jedną z najniższych istot na świecie, a pani Karolowa przypomniała sobie w tej chwili ceremonję adoptacyi. Umilkli więc oboje i odtąd unikali już rozmowy o Jasiu.

Trafiło się w owej epoce, że jakiś dziennik rzucił projekt: otworzenia pracowni rzemieślniczej dla kobiet. Dusza pana Karola, jak bomba, naładowana była łatwo wybuchającym materyałem gotowości do ofiar i coraz to nowych czynów szlachetnych. Łatwo pojąć, że artykuł o pracowniach dla kobiet spełnił funkcyę lonta, i że pan Karol wybuchnął. Od owej pory zacny filantrop o niczem już nie myślał, tylko o pracowniach dla kobiet. Wszedł natychmiast w stosunki listowne z podobnemi instytucyami za granicą, po całych dniach pisał ustawę o pracowni, składał wizyty osobom wpływowym, i we własnym domu urządzał sesje, na które schodziło się mnóstwo indywiduw nieznanych, lecz rozumnych i dobro ogólne miłujących.

Wielka idea tak pochłonęła umysł pana Karola, że nie zmartwił się nawet, gdy mu doniesiono, iż jeden z jego synów pewnie promocyi nie dostanie. Usłyszawszy tę wiadomość z ust żony, pan Karol wzruszył tylko ramionami i nawzajem doniósł jej, że na otworzenie pracowni dla kobiet przeznacza dwa tysiące rubli.

W tych czasach w sercu dobroczyńcy zaczęła się też reakcya na niekorzyść Jasia. Chłopiec mu się już przykrzył. Najprzód dla tego, że pan Karol, myślący o uszczęśliwieniu trzech milionów kobiet, nie mógł jednocześnie zajmować się losem jednego dzieciaka. Powtóre dla tego, że pani Karolowa nieraz zapytywała: co będzie z Jasiem?... przerywając tym sposobem panu Karolowi obmyślanie nierównie szerszych planów. Po trzecie, że widok Jasia był prawdziwym wyrzutem sumienia. Chłopiec ten wiecznie się czegoś bał, wiecznie wszystkim ustępował z drogi, wiecznie chciał służyć innym i robił to bardzo niezręcznie... Pan Karol nieraz szczerą wdzięczność czuł dla swej żony, gdy nie widział Jasia przy obiedzie lub herbacie. Gdy zaś go zobaczył, przychodziła mu na myśl nieszczęśliwa ceremonja adoptacyi i słowa:

— Jasiu, przyjmuję cię za syna...

— Jasiu, przyjmuję cię za brata!..

Położenie Jasia było tymczasem rozpaczliwe. Nie robił on nic po całych dniach, a z chłopcami bawić się nie śmiał. Chętnie zgodziłby się czyścić buty swoim „braciszkom,“ lecz na to niktby mu nie pozwolił, jako przybranemu synowi Synostwo to nie przeszkadzało jednak temu, że gdy się zeszło więcej gości do państwa Karolów, wówczas pani wyprawiała Jasia do jego pokoiku, gdzie mu przynoszono jedzenie.

Jaś w okolicznościach tych był prawie bliski obłędu. Z dziecinnych lat zostało mu bardzo przykre wspomnienie domu pana Piotra, którego dziś chłopak żałował. Biegał on tam wprawdzie boso, lecz biegał gdzie mu się podobało. Pan Piotr wybił czasem, lecz za to matka go ucałowała. Miał się też z kim bawić; w najgorszym razie z psami, tu i psów nie było.

Skutkiem takiego położenia, Jaś stał się chorobliwie drażliwym. To też, gdy raz przy obiedzie, pani Karolowa postawiła przed nim talerz tak jakoś niezręcznie, że się trochę rosołu wylało, sierota wybuchnął płaczem.

Niezwykły ten objaw zwrócił uwagę pana Karola, który zawsze miał dobre serce. Zacny filantrop utulił płaczącego Jasia, skarcił żonę surowem spojrzeniem, a po skończonym objedzie, poszedł na gawędkę do pokoiku swego przybranego „syna“, co już było wypadkiem nadzwyczajnym. Obejrzał pokój, łóżeczko, parę książek chłopczyny i wreszcie spytał dobrotliwie:

— Nie nudzi ci się?... cóż robisz moje dziecko?... — Chwila milczenia.

*

— Czasem czytam, a czasem siedzę...— wyszeptał Jaś, spuszczając oczy w ziemię i owijając na palcu połę swego żałobnego surducika.

— Tęsknisz jeszcze?... — pytał dalej opiekun.

Jaś nie odpowiedział nic, ale na wyrazistej twarzyczce jego widać było taką boleść, że aż pan Karol zesmutniał i mimowoli począł się tłumaczyć:

— Widzisz, moje dziecko, ja myślę o tobie, o!.. bardzo myślę. Wiem, że masz zdolności i chęć do pracy i żeś przy tem dobry... Z takich dzieci jak ty, wyrastają ludzie użyteczni i ty będziesz użytecznym pod moim kierunkiem. Pomyślę o tem, żebyś się zaczął czego uczyć, szkoda tylko, że w tej chwili nie mam czasu... proszę cię przytem, ażebyś się zmartwieniu nie poddawał i ażebyś w każdej wątpliwości życia uciekał się do mnie, jak do.... przyjaciela. Świat, moje dziecko, jest polem walki i szczęśliwy ten...

W tej chwili ktoś do mieszkania zadzwonił, skutkiem czego pan Karol zerwał się i wybiegł, nie dokończywszy swej mowy.

Biedny Jaś nigdy się już nie dowiedział, kto jest najszczęśliwszy na tym świecie.

Z powodu braku nowych marzeń, chłopczyna począł marzyć i tonąć we wspomnieniach. Niekiedy, szczególniej też o szarej godzinie, przymykał oczy i wyobrażał sobie, że jest jeszcze na wsi, w pokoiku matki u pana Anzelma. Zdawało mu się, że przez otwarte okno wieje ciepły wiatr i szeleści wśród gałązek winogradu. To znowu, że gdzieś w kącie siedzi jeden z dwu kotków i oblizując łapę mruczy pacierz. Za chwilę odległy gwar uliczny przenosił go do Warszawy i wówczas Jaś marzył, że klekot maszyny, czuje na twarzy ciepło lampy, i że matka siedzi o krok od niego.

— Gdybym tylko otworzył oczy — myślał Jaś — zarazbym ją zobaczył. Ale nie chcę, bo mi się nie podoba i wolę siedzieć z zamkniętemi oczyma!..

Niekiedy jednak na mgnienie otwierał oczy. Wówczas widział światło w mieszkaniach naprzeciw, a na ciemnej ścianie swego pokoju, ciemne kontury ram okiennych, podobnych do krzyża a raczej do dwu krzyży. Wtedy nie wiadomo zkąd przychodziły mu słowa:

Kogo Pan Bóg kocha, krzyżyki mu daje...

— Krzyżyki!.. krzyżyki!.. — myślał Jaś i czekał na matkę. Zdawało mu się, że już idzie po schodach... Idzie minutę... dwie... kwadrans... Jakoś widać schody te urosły, bo takie są długie jak ztąd do nieba, że aż matka przejść ich nie może...

Jaś jednak był grzeczny i czekał cierpliwie, a tymczasem upajał się szelestem jej sukni i cichem stąpaniem. O matko! dlaczego ty idziesz tak powoli?.. O matko spiesz się i wyrwij syna swego z sieci szaleństwa, która go ze wszystkich stron otacza!..

Niekiedy gorączkowe te dumania sieroty przerywały gwałtowne wejścia lokaja i wyrazy:

— Na herbatę...

Wówczas Jaś wstawał i szedł powoli, noga za nogą, wyobrażając sobie, że gdy wejdzie do jadalnego pokoju, zastanie Antosię, Józia, Manię że zobaczy jowialną twarz pana Anzelma i usłyszy gruby śmiech jego, że matka każe mu usiąść na wysokiem jak drabina krzesełku i poda zwykłą filiżankę leciutkiej herbaty z mlekiem.

Z takiemi marzeniami opuszczał Jaś swój ciemny pokoik. Nagle znalazły go potoki światła i ujrzał zamiast matki, piękną i surową panią Karolowę, a zamiast Anzelma, pana Karola, na którego dystyngowanej twarzy miejsce rubasznego uśmiechu szlachcica, zajmował wyraz miłości ogarniającej cały świat, zkoncentrowanej obecnie na trzech milionach kobiet, dla których chciał otworzyć pracownię.

Gdy Jaś zobaczył to, zatoczył się jak pijany. O matko, spiesz się, bo duch twego syna zbyt często zrywa z rzeczywistością, a w końcu może zerwać z ciałem! (C. d. n.)

KRYTYKA.

Polac - w południowo-zachodnim kraju: ustęp tomu VII. dzieła p. t. Prace etnograficzno-statystycznej ekspedycyi do zachodnio-russkiego kraju.

(*Dokończenie*).

Zasadnicze przyczyny antagonizmu z Wielkorussami i zmiany w bycie Polaków od czasu upadku powstania. W krytyce tego rozdziału wyręczymy się, w znacznej części, ustępem wyjętym z krytyki prof. Dragomanowa: „W obecnym czasie nie posiadamy zgoła żadnych danych do tego, ażeby jakkolwiek wiernie sądzić o tem, czem we względzie moralnym żyje społeczeństwo polskie wogóle, zwłaszcza zaś w zachodnim kraju. Oto dla czego z zadziwieniem bodaj spotykamy się z wielu konkluzyami o Polakach południowo-zachodniego kraju w „Materyałach“ p. Czubińskiego: „Katolicyzm w południowo-zachodnim kraju“, zwłaszcza zaś krótki, lecz grzmiąco zatytułowany rozdział: „Zasadnicze przyczyny antagonizmu z Wielkorussami (?) i zmiany..“ Tu okrom niedostatku danych dla konkluzyi, spotykamy się jeszcze z nieobecnością wszelkiej dodatniej metody, celem sformułowania takowych. Nie mówilibyśmy o tem, gdyby to nie były u nas zwyczajne właściwości w rozprawach o Polakach. Tak spotykamy tu i liberalny zarzut polskiemu społeczeństwu we względzie skrajnego jego katolicyzmu, i wyrok, jako polskie społeczeństwo nie ceni kobiety, jako człowieka, jako źle jest usposobione we względzie emancypacyi kobiety i tp. Antagonizm Polaków i Rossyan tłumaczy się zarazem, i spółzawodnictwem na polu przewagi w słowiańskim świecie, i tem, że rossyjska kultura antypatyczną jest polskiemu społeczeństwu, nawet mimo politycznego antagonizmu. „Rossyjskie intelligentne społeczeństwo zawsze było demokratycznem. W literaturze naszej rozwinął się silnie krytyczny kierunek, uznanie win własnych i dążność do otrząśnięcia się ze wszelakiego romantyzmu. Nie daremnie Rossya nazywa się chłopskiem państwem — intelligencya jej bardziej się do narodu zbliża aniżeli w jakiemkolwiek innem społeczeństwie“ (str. 270). Autor wierszy tych — powiada p. Dr. widocznie nie zadał sobie zapytań: „Kim się mianuje? Co rozumieć należy pod wyrazem intelligentne społeczeństwo? Kto w Rossyi spółczuje z emancypacyą kobiet, wszyscy czy niektórzy? Komu obcym jest religijny fanatyzm? i tp. Bądź co bądź nie wytłumaczył on tego czytelnikom. Przytem, widocznie, zapomniał, że powyżej wymawiał frazesy takie: „Demokratyzm powstańców“, „bezoszczędna krytyka panujących obyczajów“ i t. p Ażeby módz porównywać dwie rzeczy, potrzebną jest między niemi jednorodność. Tak też porównanie społeczeństw rossyjskiego z polskiem wówczas może być pouczającem, gdy nie zapomnimy o tem, że to i tamto rozpada się na pewne warstwy, między któremi porównanie przeprowadzać trzeba, porównywając i okoliczności rozwoju jednego i drugiego. Należy porównywać nie polskiego magnata z takim Bielińskim i z tp., ale magnata z *wielmożą*, księdza ze *swiaszczennikiem*, szlachcica z *pomieszczykiem*, studenta ze studentem i td. Różnica, niezawodnie, pokaże się, nie taka atoli jakościowa, jak u p. Czubińskiego Pokaże się, myślę, to jeno że w społeczeństwie polskiem wszystkie konserwatywne i reakcyjne żywioły bardziej są samowiedne, bardziej spojone, aniżeli w naszem, progressywne zaś bardziej rozproszone, przytem te i tamte bardziej skierowane ku pytaniom narodowym, aniżeli społecznym. Większa zaś część tych różnic, przy zestawieniu warunków rozwoju społeczeństwa polskiego i rossyjskiego, wytłumaczy się przez to, że Rossya jest państwem samoistnem, że narodowość jej ma byt zabezpieczony, Polska zaś nie“.

Do słów powyższych, popierających wywody nasze w części krytycznej, z punktu widzenia rossyjskiego niezależnego, dodamy chyba jeszcze wyznanie prof. Dr., odnoszące się do nieznajomości polskich rzeczy przez Moskali. Nieznajomość zastępują oni opinią *a priori* urobioną. Tak jest— trzeba więc dowieść, że jest tak, a nie inaczej. Na tej podstawie pp. Michalczuk i Czubiński zfabrykowali etnograficzny rzekomo pogląd na Polaków w zabranym kraju i puścili ten fabrykat w świat. Nie dziwimy się im. Ludzie, pojedyńczo brani, podlegają ułomnościom intellektualnym, za które odpowiedzialność na nich-że samych spada. Po za nimi jednak, a raczej po nad nimi, stała indywidualność zbiorowa, ogromnie poważna, Towarzystwo geograficzne, które wyrobom delegatów swoich nadało sankcyę. I Tow. to stemplem swojem opatrzyło opracowanie, zawierające, pod osłoną etnograficzną, proste, gazeciarskie szkalowanie. Spotykając się z podobnemi rzeczami w „Moskiewskich Wiedomostiach“, w „Gołosach“, w „Kijewlaninach“, ramionami wzruszamy i milczeniem je pomijamy. Ale to książka — i nielada jaka—dzieło pożądane przez biblioteki najpoważniejsze, będące źródłem poszukiwań i badań uczonych pierwszorzędnych! Znalazłszy się wobec dzieła kalibru takiego, uważaliśmy za potrzebne poznajomić czytelników polskich z tem, co się do nich odnosi. Niech wiedzą, jak zapatrują się na nich uczeni Moskale! niech wiedzą czego oni po nich wymagają!...

Na zakończenie — i my konkluzyą wyprowadzimy, dla Polaków i dla Rusinów.

Mówiąc o chłopomanii, p. M. zestawił z nią ukrainofilstwo, wytwór lewobrzeżny, nie mający z pierwszą nic spólnego, ograniczający aspiracye swoje na dążności do rozwoju małorusskiej literatury i wydawania popularnych książek w małorusskim języku, celem pomyślniejszego rozszerzenia wiedzy w narodzie“. O separatyzmie — jak zaręcza p. M., ani marzyli, ani marzą oni, obietnice zaś polskiej młodzieży zabezpieczenia swobody prawosławia i małorusskiego języka, po przyłączeniu Ukrainy do Polski niepodległej, obrażały ich. „Wydawało się im dzikiem, że garść Polaków, przedstawiająca uprzywilejowaną

klasę, pozwala sobie rozporządzać losem kraju, zaludnionego przez russki naród".

Obietnice polskiej młodzieży, jak wogóle obietnice wszelkie, najmniejszej nie mają doniosłości—i tu stanowią nie obietnice, ale siła rzeczy i logiczne zestawienie danych, na których, mając w porządku zmysły wszystkie, opierać można widoki na przyszłość. Jakże się w tym razie siła rzeczy przedstawia dla Rusinów? Czego oni pragną: czy się przetworzyć na Moskali, pod naciskiem moskiewskiej kultury, popieranej środkami, jakimi rozporządza moskiewskie państwo? czyli też, zostać samymi sobą, rozwinąć się na drodze i w kierunku narodowym i dojść z czasem do samoistności narodowej zupełnej? Pytania powyższe stawiają ich pomiędzy Moskwą a Polską—Moskwą, mocarstwem ześrodkowanem w jednej osobistości, rządem potężnym, władzą pochłaniającą, Polską, której potęga cała zawiera się w żywiołach narodowych i której władza silną nie była nigdy i silną w przyszłości być nie może. Postrzeżenie to uczynił Czacki, porównywając Moskwę z Polską, i motywując zdanie swoje zasadami federalnemi, na których się państwo polskie opierało. Była to federacya szlachecka — tak; lecz szlacheckość onej należy do przeszłości, umarła, zgorzała w ogniu, co ją trawił od 1772 roku, faktycznie pogrzebioną została — i dziś, wobec haseł takich, jak samorząd, autonomia, decentralizacya, z martwych powstać na żaden żywy sposób nie może. Z kim przeto Rusinom łatwiej dojść do samorządu, do autonomii, do decentralizacyi z Moskwą, czy z Polską? Moskwa jest państwem samoistnem, Polska w niewoli — i gdyby Rusini w niewoli nie pozostawali także, to nie odważylibyśmy się zadawać im pytania powyższego. Tak atoli jak jest, nie mają oni do ryzykowania nic. Moskwa im samorządu nie nada, pomimo że się jej Rusini, Kostomarowy, Kulisze, wysługują. W zespoleniu się z Polską przedstawia się szans sporo do wyłamania się z jarzma moskiewskiego.

W sprawie Polski i w sprawie Rusi, kwestya polityczna przoduje wszelkim innym. Mówimy to pod adresem tych Rusinów, co się socyalizmu oburącz chwycili i przyrośli do ruchów socyalnych, minujących obecnie grunt moskiewski. Zamyślają oni, drogą przewrotów społecznych, jakie ogarną Moskwę i Ruś, dojść do niezależności narodowej. Czy nie mylą się oni? Czy w ruchach tych jest grunt istotny? Czy hasła socyalne przenikną do mas ludowych, a jeżeli przenikną, to do jakich doprowadzą rezultatów? Nikt, nietylko w Rosyi, ale na całej kuli ziemskiej nie wie jeszcze, która z teoryi socyalnych ma przyszłość. Wszystko więc, co się w tym kierunku robi, robi się na oślep, niektóre zaś rzeczy napiętnowane są nieoględnością, jeżeli nie czemś gorszem. W jednej, n. p., z broszurek, mających na celu propagowanie pomiędzy ludem ruskim idei socyalnych, znaleźliśmy silną diatrybę, skierowaną przeciwko Polakom, zamieszkującym kraje zabrane, nazywającą ich zawłokami i powiadającą, że wszędzie na świecie, we Francyi, w Niemczech, w Anglii, lud i szlachta jednę wyznają religię, jednym mówią językiem, jednakiego są pochodzenia, z wyjątkiem na Rusi. „Precz z nimi! wymiećmy to śmiecie het od siebie!" Wymiata to śmiecie rząd moskiewski — to już na niego można się w tej mierze spuścić — zrobi co będzie mógł. Nie godzi się wszakże, ażeby ci, co się na nauczycieli ludu wysforowują, nauczali go nieprawdy. We Francyi, w Niemczech, w Anglii, nigdzie w świecie ucywilizowanym na religię i pochodzenie nikt uwagi nie zwraca i nigdzie też lud i szlachta, czyli też ta warstwa, co się z ludu wydzieliła, jednym z nim nie mówi językiem. Klasy oświecone mówią językiem wyrobionym, ogładzonym, książkowym, tak od ludowego odmiennym, że nie w jednem miejscu przy sądach na prowincyi tłumacze są potrzebni. Godziż się ludowi nieprawdę podobną w głowę pchać? Z nieprawdą w tym razie łączy się niedorzeczność. Szlachta polska na Rusi, zepchnięta ze stanowiska uprzywilejowanego, jest żywiołem wysoko cennym—jest pierwiastkiem organicznym, który się z krajem zrósł, który z ludem tamecznym pozostaje w łączności ściślejszej, nietylko jak Moskale naprowadzeni, ale nawet jak Rusini lewobrzeżni, i który ma interes, interes żywotny, z Rusią w dobrem pozostawać porozumieniu — dźwigać ją.

Interes Rusi i interes Polski łączą się siłą rzeczy, logicznym zbiegiem okoliczności. Nad rozerwaniem tej łączności pracują usilnie Moskale, pracują też, niestety! i Rusini, których dwóch, pp. Czubiński i Michalczuk, złożyło się i napisali szkic po moskiewsku, w słowie i w duchu.

Z. Miłkowski.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ DRUGA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ IX.

W którym wyłącznie będzie mowa o Jowiszu, zwanym wielkim psotnikiem komet.

Palmiryn Rosette w samej rzeczy zajmował się nauką dla nauki. Znał efemerydy swego komety, jego ruch w przestrzeni międzyplanetarnej, czas trwania obrotu jego dokoła słońca. Reszta zaś, jak masa, gęstość, atrakcya, a nawet wartość metaliczna Galii mogła obchodzić jego samego tylko, a nie jego towarzyszów, przedewszystkiem pragnących znaleść ziemię w przypuszczalnym punkcie jej orbity w danym czasie.

Pozostawiono więc profesora przy jego studyach czysto naukowych.

Następny dzień był to 1szy sierpnia, czyli zapożyczając się z języka Palmiryna Rosette, 63 kwietnia galickiego. Przez ten czas kometa, mający zrobić szesnaście milionów pięćkroćstotysięcy mil, powinien był oddalić się od słońca na sto dziewięćdziesiąt siedm milionów mil, ażeby dojść do swego punktu odsłonecznego w dniu 15. stycznia. Od owego punktu miał się on przybliżać ku słońcu.

Ale wówczas Galia zbliżała się ku cudownemu światu, którego jeszcze żadne oko ludzkie tak blisko nie oglądało.

Tak jest! profesor miał słuszność, iż nie opuszczał swego obserwatoryum! Nigdy żaden astronom, a astronom jest więcej aniżeli człowiekiem, ponieważ żyje po za obrębem świata ziemskiego, nie znalazł się na podobnej uroczystości oczu! Jakże piękne były owe galickie noce! Żadnego podmuchu wiatru, żadna mgła nie zamącała pogody! Księga firmamentu była roztwartą i dawała się czytać z niezrównaną dokładnością!

Wspaniałym tym światem, ku któremu zmierzała Galia, był świat Jowisza, najważniejszy ze światów, które słońce trzyma swoją atrakcyjną siłą. Od spotkania się ziemi z kometą upłynęło już siedm miesięcy i ten ostatni szybko zmierzał ku wspaniałemu planecie, występującemu naprzeciw niego. W onym dniu 1go sierpnia dwa ciała niebieskie były odległe od siebie tylko na sześćdziesiąt i jeden milion mil i aż do 1go listopada miały stopniowo przybliżać się ku sobie.

Czy nie było w tem niebezpieczeństwa? Czy krążąc tak blisko Jowisza Galia nie zanadto ryzykowała? Czy siła przyciągająca planetę, którego masa była tak ogromną w porównaniu z jej masą, nie wywrze na nią jakiego szkodliwego wpływu? Obliczając czas trwania obrotu Galii profesor bez wątpienia uwzględniał zmiany, jakich ona doznać mogła nie od wpływu nietylko Jowisza, ale także Saturna i Marsa. Ale jeżeli się omylił co do wartości tych wpływów, jeżeli kometa jego dozna spóźnienia dłuższego aniżeli przypuszczał! Jeżeli ten straszliwy Jowisz, ten wieczny uwodziciel komet...

Jednem słowem, jak to wytłumaczył porucznik Prokop, wyrachowania astronoma były mylne, czworakie nieszczęście zagrażało Galii:

1. Albo niepowstrzymalnie przyciągana przez Jowisza Galia spadnie na jego powierzchnię i zostanie pochłoniętą;

2. Albo tylko pochwycona przejdzie w stan satelity, może nawet pod-satelity.

3. Albo zbita ze swej drogi, pójdzie po nowej orbicie, która nie doprowadzi jej do ekliptyki.

4. Albo spóźniwszy się, choćby cokolwiek z powodu Jowisza, przybędzie zapóźno na ekliptykę i nie znajdzie tam ziemi.

Należy zauważyć, że jeżeli z tych czterech niebezpieczeństw jedno się urzeczywistni, to Galijczycy utracą wszelką nadzieję powrotu na rodzinną swą kulę.

Teraz trzeba jeszcze zwrócić uwagę na to, że ze czterech tych ewentualności, w razie gdyby nastąpiły, Palmiryn Rosette dwóch tylko obawiał się. By Galia nie przeszła w stan księżyca lub wice-księżyca świata Jowiszowego, to nie mogło przypadać do gustu temu awanturniczemu astronomowi; ale gdyby nie stawiwszy się na spotkanie z ziemią w dalszym ciągu krążyła dokoła słońca, albo też wpadła w gwiaździstą przestrzeń pomiędzy mgławice mlecznej drogi, do której zdają się należeć wszystkie widzialne gwiazdy, toby mu się bardzo podobało. Że towarzysze jego opanowani byli nieprzepartą żądzą powrotu na kulę ziemską, gdzie pozostawili rodziny, przyjaciół, to łatwo zrozumieć; ale Palmiryn Rosette nie miał już rodziny, nie miał przyjaciół, gdyż nigdy nie miał czasu pozyskać ich sobie. Ze znanym swym charakterem, coby on mógł poradzić sobie? A ponieważ miał taką wyjątkową naukę, ponieważ uniesiony został w przestrzeń na nowem ciele niebieskiem, więc oddałby wszystko, byle tylko nigdy go nie opuszczać.

Miesiąc przeszedł w takich warunkach, wśród obaw Galijczyków i nadziei Palmiryna Rosette. Dnia 1. września odległość Galii od Jowisza wynosiła wszystkiego trzydzieści ośm milionów mil, równo tyle, ile stanowi odległość ziemi od jej punktu atrakcyjnego. Dnia 15. odległość ta zmniejszyła się do dwudziestu sześciu milionów mil. Planeta powiększał się na firmamencie i Galia

zdawała się być przyciąganą ku niemu, jak gdyby kierunek ekliptyczny zmienił się w prostopadłe spadanie pod wpływem Jowisza.

A potężnym był ten planeta zagrażający Galii i ze wszech miar niebezpiecznym! Wiadomo od czasów Newtona, że atrakcya między ciałami wykonywa się proporcyonalnie do ich masy i w stosunku odwrotnym kwadratów odległości. Owoż masa Jowisza była bardzo znaczną, a odległość, w której Galia miała przechodzić koło niego znacznie się zmniejszyła!

W samej rzeczy średnica tego olbrzyma wynosi trzydzieści pięć tysięcy siedmset dziewięćdziesiąt mil, czyli jest jedynaście razy większą od średnicy ziemi, obwód zaś sto dwanaście tysięcy czterysta czterdzieści mil. Masa jego jest tysiąc czterysta czternaście razy większą od objętości ziemi, to jest że trzebaby tysiąc czterysta kul ziemskich, aby dorównać jego objętości. Masa jego jest trzysta trzydzieści ośm razy znaczniejszą aniżeli masa sferoida ziemskiego; czyli innemi słowami, waży on sto trzydzieści ośm razy więcej, to jest około dwóch oktylionów kilogramów, jakowa liczba składa się z dwudziestu ośmiu cyfr. Jeżeli średnia jego gęstość, wyprowadzona z jego masy i objętości, nie dorównywa czwartej części gęstości ziemi i nie przewyższa trzeciej części gęstości wody, to powstaje przypuszczenie, iż być może ogromny planeta jest w stanie płynnym, przynajmniej na powierzchni. Zawsze jednak masa jego mogła oddziałać na Galię.

Dodac tu jeszcze należy, na zakończenie fizycznego opisu Jowisza, że ten dokonywa swego obrotu dokoła słońca w jedynastu latach bez siedmnastu dni, ośmiu godzin i czterdziestu dwóch minut ziemskich; że porusza się z szybkością trzynastu kilometrów na sekundę po orbicie długiej na tysiąc dwieście czternaście milionów mil; że obrót jego na własnej osi odbywa się wszystkiego w dziesięciu godzinach i pięćdziesięciu pięciu minutach, co niepospolicie zmniejsza długość jego dnia; a zatem każdy jego punkt na równiku dwadzieścia siedm razy prędzej zmienia miejsce, aniżeli punkta równikowe ziemi, co każdemu z jego biegunów nadało depresyę dziewięćset dziewięćdziesięciu pięciu mil; że oś planety jest prawie prostopadłą do poziomu jego orbity, zkąd wynika, że dnie równe są nocy, i zmiana pór roku niewiele czuć się daje, ponieważ słońce prawie bez zmiany pozostaje na poziomie równika; nakoniec, że naprężenie światła i ciepła przyjmowanego przez planetę wynosi tylko dwudziestą piątą część naprężenia na powierzchni ziemi, ponieważ Jowisz krąży po linii eliptycznej w odległości najmniej stu ośmdziesięciu ośmiu milionów mil od słońca, a najwięcej mil dwieście siedm milionów.

Pozostaje teraz powiedzieć parę słów o jego czterech księżycach, które, to połączone na jednym horyzoncie, to oddzielnie, wspaniale oświetlają noce jowiszowe.

Z czterech tych satelitów jeden porusza się dokoła Jowisza w odległości, równej prawie odległości księżyca od ziemi. Jeden jest nieco mniejszy od nocnego światła. Ale wszystkie wykonywają ruch z szybkością nierównie większą aniżeli księżyc; pierwszy w jednym dniu ośmnastu godzinach, dwudziestu ośmiu minutach, drugi w trzech dniach, trzynastu godzinach, czternastu minutach, trzeci w siedmiu dniach, trzech godzinach, czterdziestu trzech minutach, a czwarty w szesnastu dniach, szesnastu godzinach, trzydziestu dwóch minutach. Najdalszy krąży w odległości czterechset sześćdziesięciu pięciu tysięcy stu trzydziestu mil od powierzchni planety.

Wiadomo, że z obserwacyi tych satelitów, których ruchy są znane z całą dokładnością, zdołano po raz pierwszy obliczyć szybkość światła. Mogą one również służyć do wyrachowania geograficznych długości ziemskich.

— Można zatem przedstawiać sobie Jowisza — rzekł pewnego dnia porucznik Prokop — jako ogromny zegar; którego wskazówki tworzą satelity i który wymierza czas z najzupełniejszą dokładnością.

— Zegarek cokolwiek za wielki dla mojej kieszeni — zauważył Ben-Zuf.

— I dodać do tego trzeba — rzekł porucznik — że nasze zegarki miewają co najwięcej po trzy wskazówki, a ten ma cztery...

— Pilnujmy-no się by wkrótce nie dostał piątej! — zawołał kapitan Servadac, pomyślawszy o niebezpieczeństwie, na jakie narażała się Galia, gdyby została satelitą Jowisza.

Łatwo sobie wystawić, że świat ten, z dniem każdym zwiększający się w ich oczach, był jedynym przedmiotem rozmów kapitana Servadac i jego towarzyszów. Nie mogli oderwać od niego oczu, nie mogli mówić o niczem innem.

Pewnego dnia rozmowa przeszła na wiek tych rozlicznych planet krążących dokoła słońca i porucznik Prokop nie mógł lepiej odpowiedzieć, jak odczytaniem tego ustępu z „Opowiadań o nieskończoności“ Flamariona:

„Najodleglejsze z tych ciał niebieskich są najpoważniejsze i najbardziej wysunięte na drodze postępu. Neptun, znajdujący się w odległości tysiąca stu miljonów mil od słońca, pierwszy wyszedł z mgławicy słonecznej przed miljardami wieków. Uranus krążący o siedmset milionów mil od wspólnego centra orbit planetarnych, liczy kilkaset miljonów wieków. Jowisz, olbrzym unoszący się o sto dziewięćdziesiąt miljonów mil, ma siedmdziesiąt miljonów wieków istnienia. Mars liczy tysiąc miljonów lat; odległość jego od słońca wynosi pięćdziesiąt sześć miljonów mil. Ziemia odległa od słońca na trzydzieści siedm miljonów mil wyszła z jego ognistego łona przed setkami miljonów lat. Być może, iż Wenera nie więcej jak przed pięćdziesięcią miljonami lat wyłoniła się ze słońca; krąży ona w odległości dwudziestu sześciu milionów mil; dopiero przed dziesięciu miljonami lat Merkury powstał z tegoż samego źrodła, podczas gdy księżyc porodziła ziemia.“

Taką była nowa teorja, co doprowadziła kapitana Servadac do uwagi, że obliczywszy wszystko, lepiej być pochwyconym przez Merkurego, aniżeli przez Jowisza. Natenczas przynajmniej służyłoby się panu nie tak staremu, którego zatem łatwiej możnaby było zadowolnić!

W ciągu ostatnich dwóch tygodni miesiąca września Galia i Jowisz ciągle zbliżali się ku sobie. Dnia 1go tego miesiąca kometa przeciął orbitę planety, a w pierwszych dniach miesiąca przyszłego dwa te ciała niebieskie miały się znaleźć najbliżej siebie. Nie było co obawiać się uderzenia bezpośredniego, ponieważ poziomy orbit Jowisza i Galii nie stykały się, ale były daleko pochylone jeden ku drugiemu.

W ciągu tych dwóch tygodni dla spostrzegacza nie tyle interesowanego co Galijczycy, Jowisz zasługiwał na to, by się nim zachwycano. Krąg jego, oświetlony promieniami słońca, odbijał je z pewnem natężeniem na Galię. Przedmioty, najbardziej oświetlone na jej powierzchni, przybierały barwy nowe. Nerina nawet, znajdując się naprzeciw Jowisza, a zatem w łączności ze słońcem, niejasno ukazywała się w nocy. Palmiryn Rosette, ciągle siedzący w swem obserwatoryum, z lunetą skierowaną na cudnego kometę, zdawał się chcieć przeniknąć najgłębsze tajniki świata jowiszowego. Planeta ten, którego żaden astronom ziemski nie widział bliżej, jak z odległości stu pięćdziesięciu milionów mil, miał przybliżyć się wszystkiego na milionów trzynaście do zachwyconego profesora!

Co do słońca, to z odległości w jakiej Galia krążyła wtedy, przedstawiało się ono tylko w kształcie kręgu mającego nie więcej, jak pięć minut czterdzieści sześć sekund średnicy.

Na kilka dni przed zbliżeniem się Galii do Jowisza na najbliższą odległość, satelity planety widzialne były gołem okiem. Wiadomo, że z ziemi niepodobna bez lunety dostrzedz księżyców jowiszowych. Kroniki naukowe przytaczają między innemi Moestlina, profesora Keplera, jednego myśliwca sybirskiego, jak utrzymuje Wrangel, a według Bogusławskiego dyrektora obserwatoryum we Wrocławiu, jednego krawca tamecznego. Przypuszczając taką bystrość wzroku jaką śmiertelnicy ci byli obdarzeni, mieliby oni licznych współzawodników, gdyby w tej epoce mieszkali w Gorącej Ziemi i jaskiniach Ula Niny. Satelity widzialne były przez wszystkich. Można było nawet dostrzedz, że pierwszy był koloru białego mniej więcej, drugi lekko niebieskawy, trzeci białości niepokalanej, czwarty to pomarańczowy, to czerwonawy. Trzeba rownież dodać, że Jowisz w tej odległości zdawał się zupełnie pozbawiony migotania.

Jeżeli Palmiryn Rosette ciągle zajmował się spostrzeżeniami, jako astronom zupełnie bezinteresowny, to towarzysze jego obawiali się ciągle opóźnienia, lub też atrakcyi, która mogła się zmienić w spadek. Tymczasem dnie upływały, a obawy ich nie ziszczały się.

A więc Jowisz wywołałby na Galii tylko zmiany wskazane wyrachowaniami? Jeżeli nie było co obawiać się upadku bezpośredniego z powodu początkowego pędu nadanego komecie, to czy pęd ten wystarczy do utrzymania tych zmian w granicach, które według obliczeń, miały pozwolić jej na wykonanie w ciągu dwóch lat obrotu dokoła słońca?

Zapewne zastanawiał się nad tem i Palmiryn Rosette, ale niewłaściwem byłoby wydzieranie mu tajemnicy jego spostrzeżeń.

Kilkakrotnie Hektor Servadac i towarzysze jego rozmawiali o tem.

— Ba! — mówił kapitan Servadac — jeżeli długość obrotu Galii jest zmodyfikowaną, jeżeli Galia dozna nieprzewidzianego opóźnienia, mój profesor nie zdoła pohamować swego zadowolenia. Zanadto będzie rad temu, że nas w kłopot wprawi i nie zapytując go bezpośrednio, dowiemy się czego należy się trzymać.

— Dalby Bóg, przytem wszystkiem — rzekł hrabia — by nie popełnił omyłki w pierwszych swych wyrachowaniach!

— On! Palmiryn Rosette, miałby popełnić omyłkę! — zawołał Hektor Servadac — to mi się wydaje niemożebnem. Nie można mu zarzucić, by nie był obserwatorem wysokiej wartości. Ja wierzę w dokładność pierwszych jego wyrachowań, dotyczących obrotu Galii, tak samo jak uwierzę w dokładność drugich, jeżeli twierdzić będzie, iż powinniśmy zrzec się wszelkiej nadziei powrotu na ziemię.

— A czy chce pan kapitan bym mu po-

wiedział co mię najwięcej niepokoi? — zapytał Ben-Zuf.

— Powiedz nam, Ben-Zufie.

— Uczony wasz przepędza cały czas w swojem obserwatoryum, czy tak? — rzekł ordynans tonem człowieka, który się głęboko zastanawiał.

— Tak jest, bezwątpienia — odpowiedział Hektor Servadac.

— I w dzień i w nocy — ciągnął dalej Ben-Zuf — piekielna jego luneta skierowana jest na tego pana Jowisza, który chce nas połknąć?

— Tak jest!... — cóż dalej?

— Czy jesteś pan pewny, panie kapitanie, że były jego profesor nie przyciąga powoli tego Jowisza przeklętą swoją lunetą?

— O, co to, to nie! — odrzekł kapitan Servadac, wybuchając śmiechem.

— No, no, panie kapitanie — powiedział Ben-Zuf, potrząsając głową jako człowiek nie bardzo przekonany. Mnie to nie wydaje się tak pewnem, jak panu i muszę bardzo panować nad sobą by...

— By co? — zapytał Hektor Servadac.

— By mu nie zniszczyć jego złowrogiego instrumentu.

— Potłuc lunetę, Ben-Zufie!

— Na tysiąc kawałków!

— O! tylko spróbuj, a każę cię powiesić.

— O! powiesić!

— Czyż nie jestem generalnym gubernatorem Galii?

— I to prawda, panie kapitanie! — odpowiedział Ben-Zuf.

Prawdą jest, iż gdyby został skazany, to prędzej sam założyłby sobie stryczek na szyję, aniżeliby zaprzeczył prawa życia i śmierci „jego ekscelencyi."

Dnia 1go października odległość między Jowiszem a Galią wynosiła wszystkiego ośmnaście milionów mil. Planeta więc znajdował się oddalonym od komety o sto dziewięćdziesiąt razy dalej aniżeli księżyc od ziemi przy największej swej odległości. Owoż wiadomo, że gdyby Jowisz znalazł się w takiej odległości jak księżyc od kuli ziemskiej, to krąg jego przedstawiałby średnicę trzydzieści cztery razy większą aniżeli średnica księżyca. W oczach spostrzegaczów Galii przedstawiał on wtedy krąg wielkich rozmiarów.

Widziano dokładnie różnobarwne pasy wijące się po nim równolegle do równika, szarawe na północy i południu, kolejno to ciemne to jasne przy biegunach. Plamy bardzo widoczne naruszały tu i ówdzie czystość tych pasów poprzecznych, zmieniając kształty i rozmiary.

Czy pasy te i plamy nie były atmosferycznemi zmianami Jowisza? Czy ich obecność, naturę i zmianę miejsca należało przypisać nagromadzeniu się wyziewów, tworzeniu się chmur unoszonych powietrznemi prądami, które zdawały się mieć ruch wsteczny w stosunku do obrotu planety na jego osi? Tego tak samo Palmiryn Rosette nie mógł twierdzić, jak i jego koledzy na obserwatoryach ziemskich. Gdyby powrócił na ziemię, nie miałby nawet tej pociechy, że pochwycił jedną z najbardziej zajmujących tajemnic świata jowiszowego.

W drugim tygodniu października obawy były jeszcze większe, aniżeli kiedykolwiek przedtem. Galia z wielką szybkością przybliżała się ku niebezpiecznemu punktowi. Hrabia i kapitan Servadac, w ogóle cokolwiek ostrożni, jeżeli nie oziębli jeden względem drugiego, uczuli się zbliżonymi wobec zagrażającego niebezpieczeństwa. Wymieniali bezustannie swe myśli. Jeżeli czasami uznawali partyę za straconą, powrót na ziemię za niemożebny, natenczas oddawali się zagłębianiu w tę przyszłość, która oczekiwała ich w świecie słonecznym, może nawet w świecie gwiazdzistym. Z góry zgadzali się na swój los. Widzieli się przeniesionymi pomiędzy nową ludzkość i przejmowali się tą rozległą filozofią, która odrzucając ciasny pomysł, jakoby świat stworzony był jedynie dla człowieka, obejmuje całą przestrzeń światów.

Ale w gruncie, gdy należycie wglądali sami w siebie, czuli, że wszelka nadzieja nie może ich opuścić, i że nie zrzekną się ujrzenia na nowo ziemi, jeżeli ta ukaże się na horyzoncie Galii wpośród tysiącznych gwiazd firmamentu. Zresztą gdyby uniknęli niebezpieczeństwa, spowodowanego sąsiedztwem Jowisza — porucznik Prokop często to im powtarzał — Galia nie miałaby czego obawiać się ani od Saturna, zbyt oddalonego, ani od Marsa, którego znowu przecięłoby orbitę powracając ku słońcu. To też jak im było pilno przedostać się przez ten punkt złowrogi!

Dnia 1go października dwa ciała niebieskie znajdowały się w najbliższej odległości jedno od drugiego. Odległość ta wynosiła trzynaście milionów mil wszystkiego. Natenczas albo wpływ atrakcyjny Jowisza weźmie górę, albo Galia będzie w dalszym ciągu poruszać się po swej orbicie nie doznając innych wypadków oprócz tych, które były wyrachowane...

Galia przeszła...

Przekonano się o tem na drugi dzień, zauważywszy najgorszy humor Palmiryna Rosette. Jeżeli tryumfował on jako mocny w obliczeniach, to był zwyciężony jako człowiek przygód szukający. On, który powinienby być najszczęśliwszym z astronomów, był najnieszczęśliwszym z Galijczyków!

Galia idąc dalej bez przeszkód po swej drodze, wciąż grawitowała ku słońcu, i co zatem idzie, podążała ku ziemi.

ROZDZIAŁ X.

Z którego wyraźnie przekonywamy się, że lepiej handlować na ziemi aniżeli na Galii.

— Do pioruna! sądzę żeśmy się szczęśliwie wyśliznęli! — zawołał kapitan Servadac, gdy niezadowolenie profesora przekonało go, że znikło wszelkie niebezpieczeństwo.

Potem, zwracając się do swych towarzyszy, nie mniej od niego zadowolonych, dodał:

— Mówiąc w ogóle, cożeśmy to zrobili? Odbyliśmy prostą podróż po świecie słonecznym, podróż dwuletnią! Alež na ziemi odbywają się podróże nierównie dłużej trwające! A więc dotąd nie mamy na co uskarżać się, a ponieważ odtąd wszystko pójdzie jak należy, nim upłynie piętnaście miesięcy powrócimy na nasz rodzinny sferoid!

— I znowu ujrzymy Montmartre! — dodał Ben-Zuf.

W samej rzeczy, było to wielkiem szczęściem, że Galijczykowie wyszli cało z tych ambarasów. Bo przypuszczając nawet, że pod wpływem Jowisza kometa doznał tylko jedną godzinę spóźnienia, ziemia znalazłaby się prawie w odległości około stutysięcy mil od punktu, w którym powinnaby była spotkać się z Galią. W jakim odstępie czasu warunki te przedstawiłyby się po raz drugi? Czy wieki, czy miliony lat nie upłynęłyby nim drugie spotkanie stałoby się możebnem. Tak jest! bez wątpienia! Oprócz tego jeżeli Jowisz tak oddziałał na Galię, iż zmienił poziom lub formę jej orbity, to być może iż wiecznie krążyć ona będzie w świecie słonecznym lub też w przestrzeniach gwiazdzistych.

Dnia 2go listopada odległość oddzielająca Jowisza i Galią obliczano na siedmnaście milionów mil. Za pół trzecia miesiąca kometa przejdzie do swego afelium, to jest znajdzie się w największej odległości od słońca, i począwszy od tego punktu będzie zbliżać się ku niemu.

Właściwości, czyli raczej przymioty słońca pod względem światła i ciepłoty zdawały się podówczas szczególnie osłabione. Rodzaj jakby półdnia oświetlał tylko przedmioty na powierzchni komety. Światło i ciepło wynosiło na nim tylko dwudziestą piątą część tego światła i ciepła, które słońce przesyła na ziemię. Ale gwiazda atrakcyjna ciągle znajdowała się na swojem miejscu. Galia nie przestawała ulegać jej potędze. Wkrótce miano przybliżyć się do niej. Natenczas znowu powróci życie przy tym ognistym punkcie, którego temperaturę obliczają najmniej na pięć milionów stopni. Przyszłe takie widoki orzeźwiały Galijczyków pod względem moralnym i fizycznym — chociaż w ogóle i bez tego trzymali się oni mocno.

A Izaak Hakhabut?... Czy samolub ten podzielał obawy kapitana Servadaca i towarzyszów jego w ciągu ostatnich dwóch miesięcy?

Bynajmniej. Izaak Hakhabut nieopuścił *Hanzy* od czasu pożyczki, zawartej na tak korzystnych dla niego warunkach. Zaraz na drugi dzień po ukończeniu operacyi profesora, Ben-Zuf pospieszył odnieść mu pieniądze i bezmian. Cena wynajmu i procenta znajdowały się już w jego ręku. Pozostawało mu tylko zwrócić papierowe pieniądze, złożone jako zastaw — i stosunki jego z mieszkańcami Ula Niny znowu się zerwały.

Jednocześnie Ben-Zuf zawiadomił go, że cały grunt Galii składa się ze złota, bez wartości wprawdzie tu na miejscu, ale któraby mogło mieć na ziemi.

Izaak sądził, że Ben-Zuf żartuje sobie z niego. Nie uwierzył tej historyi i więcej niż kiedykolwiek myślał o zagarnięciu wszelkiej monety znajdującej się w Galii.

Tak więc Ul Niny ani razu nie był zaszczycony odwiedzinami cnego Hakhabuta.

— To dziwna rzecz — robił czasem uwagę Ben-Zuf, jak się człowiek łatwo przyzwyczaja do tego, by go wcale nie widzieć.

Otóż w owym czasie Izaak Hakhabut myślał o wznowieniu stosunków z Gallijczykami. Naturalnie wymagał tego własny interes żyda. Naprzód niektóre towary jego zaczynały się psuć; powtóre ważną było dla niego rzeczą wymieniać te towary na pieniądze, zanim kometa połączy się z ziemią. W istocie, towary te po powrocie na glob ziemski miałyby tylko zwyczajną wartość. Przeciwnie, na rynku gallickim powinny były dosięgnąć nadzwyczajnych cen, tak z powodu swej rzadkości, jak i dla tego — Izaak dobrze to wiedział — że tylko u niego można ich było dostać.

W istocie około tego czasu na składzie ogólnym zaczęło niedostawać rozmaitych najniezbędniejszych artykułów, oliwy, kawy, cukru, tytoniu itp. Ben-Zuf powiedział o tem kapitanowi. Ten, wierny trybowi postępowania raz przyjętemu przez się względem Izaaka Hakhabuta, postanowił zarekwirować towary Hanzy — za wynagrodzeniem pieniężnem.

Ta zgodność zapatrywań w sprzedającym i

kupujących powinna była skłonić Izaaka do nawiązania a nawet ustalenia stosunków z mieszkańcami Ziemi Gorącej. Dzięki sprzedaży towarów, przy ciągłem podnoszeniu się cen, Izaak Hakhabut spodziewał się wkrótce zgromadzić wszystko złoto i srebro kolonii.

— Tylko że — medytował w swojej ciasnej izdebce okrętowej—wartość mego ładunku więcej wynosi, niż ci ludzie mają pieniędzy. Otóż, kiedy już wszystko będę miał w szkatułce, jakim sposobem ci ludzie zakupią resztę moich towarów?

Ta ewentualność jednak nie długo niepokoiła godnego człowieka. Przypomniał sobie bardzo w porę, że nietylko był handlarzem, ale i pożyczającym, poprostu mówiąc, lichwiarzem. Nie mógłże na Gallii prowadzić dalej tego zyskownego rzemiosła, które mu się tak udawało na ziemi? Ostatnia operacya w tym rodzaju, której dokonał, mogła go tylko zachęcać.

Otóż, Izaak Hakhabut — umysł logiczny — powoli przyszedł do następującego rozumowania:

— Kiedy ci ludzie nie będą już mieli pieniędzy, ja będę miał jeszcze moje towary, ponieważ te będą się ciągle utrzymywały przy wysokich cenach. Któż mi przeszkodzi pożyczać wówczas, naturalnie pożyczać tylko tym, których podpis wyda mi się dobrym? Ech, ech, chociaż podpisane na Gallii, rewersa te niemniej przeto będą miały znaczenie na ziemi! Jeżeli nie będą wypłacone na termin, każę je zaprotestować, a woźni zrobią swoje. Przedwieczny nie zabrania ciągnąć zysków ze swego mienia. Przeciwnie. Jest tu kapitan Servadac, a przedewszystkiem hrabia Timaszew, którzy mi się wydają wypłacalnymi i którzy nie będą zważali na wysokość procentu. Ach, nie będę od tego, aby pożyczyć tym ludziom trochę pieniędzy, które mi zapłacą na prawdziwym świecie!

Izaak Hakhabut, sam nie wiedząc o tem, miał naśladować sposób, używany niegdyś przez Gallów. Pożyczali oni na rewersa płatne w przyszłem życiu. Dla nich, co prawda, przyszłe życie było życiem wiekuistem. Dla Izaaka było to życie ziemskie, do którego przed upływem piętnastu miesięcy los, dobry dla niego, zły dla dłużników, miał prawdopodobnie wszystkich sprowadzić.

Jako następstwo wszystkiego, co się tu powiedziało, podobnie jak ziemia i Gallia niepowstrzymanie dążyły jedna ku drugiej, Izaak Hakhabut miał uczynić krok ku kapitanowi Servadac, który wyruszył ku właścicielowi statku.

Spotkanie miało miejsce 15. listopada w kabinie Hanzy. Przezorny handlarz nie spieszył się z zaofiarowaniem, ponieważ wiedział, że przychodzą żądać jego towarów.

— Mości Izaaku — powiedział kapitan Servadac przystępując odrazu do rzeczy bez wszelkich wstępów i wybiegów — potrzebujemy oliwy, kawy, tytoniu i innych artykułów, w które zaopatrzoną jest twoja Hanza. Ja i Ben-Zuf przyjdziemy tu jutro kupić, czego nam potrzeba.

— Łaski! — zawołał Izaak, któremu się ten wykrzyknik wyrywał zawsze, choć nie było powodu do niego.

— Powiedziałem — ciągnął dalej kapitan Servadac — że przyjdziemy „kupić,“ rozumiesz? Sądzę, że kupić, to znaczy wziąć towar za umówioną cenę. A zatem niepotrzebnie rozpoczynasz pan swoje jeremiady.

— Ach, panie gubernatorze — odpowiedział Izaak, którego głos drżał ja: u biedaka żebrzącego jałmużny — rozumiem dobrze! Wiem, że nie zechcesz ograbić biednego kupca, którego cały majątek jest narażony na takie niebezpieczeństwa!

— Nic mu nie grozi, Izaaku, i powtarzam ci, nic się od ciebie nie weźmie bez zapłaty.

— Bez zapłaty... gotówką?

— Gotówką.

— Pojmujesz pan, panie gubernatorze, że byłoby mi bardzo trudno kredytować...

Kapitan Servadac podług swego zwyczaju, i chcąc wystudyować ten typ pod wszelkimi względami, pozwolił mu mówić. Ten widząc to, rozpuścił wodze słowom:

— Sądzę... tak... myślę, że są na Ziemi Gorącej osoby bardzo szanowne... chcę mówić wypłacalne... pan hrabia Timaszew... sam pan gubernator...

Hektor Servadac miał przez chwilę chęć zapłacić mu za ten komplement kopnięciem nogi.

— Ale pan pojmujesz — ciągnął słodko Izaak Hakhabut — gdybym pokredytował jednemu, byłoby mi bardzo trudno... odmówić drugiemu. Toby doprowadziło do scen przykrych... i sądzę zatem, że lepiej będzie nie kredytować nikomu.

— To i moje zdanie — odpowiedział Servadac.

— Ach, jakże się cieszę, — mówił dalej Izaak — że pan gubernator podziela mój sposób widzenia. To się nazywa pojmować handel, jak należy! Mogęż zapytać pana gubernatora w jakiej monecie nastąpi wypłata?

— W złocie, w srebrze, w miedzi, a jak się ta moneta wyczerpie, w biletach bankowych...

— Papiery — zawołał Izaak Hakhabut. — Tego się właśnie lękałem!

— Jak to? nie masz więc pan zaufania do banku Francyi, Anglii i Rosyi?

— Ach, panie gubernatorze!... Nie ma jak kruszec złoty i srebrny!... to prawdziwa wartość!

— To też—odpowiedział kapitan Servadac, który się okazywał ciągle bardzo uprzejmym — powiedziałem ci, mości Izaaku, że otrzymasz naprzód złoto i srebro, mające kurs na ziemi.

— Złoto... złoto — zawołał żywo Izaak. — To jest moneta nad monetami!

— Tak, w złocie przedewszystkiem, mości Izaaku, gdyż to właśnie złota najwięcej jest na Galii, złoto rosyjskie, złoto angielskie, złoto francuskie.

— Och! dobre złota! — szeptał Izaak, którego chciwość spowodowała do użycia „w liczbie mnogiej“ tego rzeczownika, tak cenionego na całym świecie.

Kapitan Servadac zabierał się do wyjścia.

— A zatem rzecz ułożona, mości Izaaku, do jutra.

Izaak Hakhabut podszedł ku niemu.

— Pozwoli mi pan gubernator postawić jeszcze jedno, ostatnie pytanie?

— Mów pan.

— Wolno mi będzie, nieprawdaż; naznaczyć na me towary... cenę, jaka mi się zdawać będzie...

— Panie Hakhabut — odpowiedział spokojnie kapitan Servadac — miałbym prawo naznaczyć ci maximum, ale mam wstręt do tych procederów rewolucyjnych. Zażądasz pan dla swych towarów cen, jakie są zwykłemi na targach europejskich, i basta.

— Łaski, panie gubernatorze!... — zawołał Izaak dotknięty w słabą stronę — ale to znaczy pozbawiać mię słusznego zysku!... To przeciwne wszelkim prawom handlowym!... Mam prawo stanowić ceny, ponieważ wszystkie towary są w mojem ręku! Chcąc być sprawiedliwym, nie możesz sprzeciwiać się temu, panie gubernatorze!... To doprawdy znaczyłoby ograbić mię z majątku!...

— Ceny europejskie — odpowiedział spokojnie kapitan Servadac.

— Jakto! Nastręcza mi się sytuacya do wyzyskania...

— Właśnie chcę temu przeszkodzić.

— Nigdy już mi się podobna sposobność nie zdarzy...

— Do odarcia ze skóry bliźnich, mości Izaaku. Cóż robić, przykro mi bardzo... Ale nie zapomnij pan, że w interesie ogólnym miałbym prawo rozrządzać pańskimi towarami.

— Rozrządzać tem, co do mnie prawnie należy w obliczu Przedwiecznego!

— Tak... panie Izaaku... — odpowiedział kapitan — ale traciłbym czas, chcąc ci wytłómaczyć tę prawdę tak prostą! Usłuchaj więc mię, i bądź rad, że możesz sprzedać towary jako tako, kiedy można cię było zmusić do ich oddania.

Izaak Hakhabut chciał rozpoczynać swoje lamenty, ale kapitan Servadac położył im koniec, odchodząc z temi słowami:

— Ceny europejskie, panie Izaak, ceny europejskie!

Izaak przepędził resztę dnia na łajaniu gubernatora i całej kolonii gallickiej, którzy śmieli mu naznaczać „maximum“, jak w złych czasach rewolucyjnych. I zdawało się, że dopiero wtedy pocieszył się nieco, kiedy mu przyszła do głowy refleksya, do której widocznie przywiązywał szczególne znaczenie:

— Dobrze, dobrze, ludzie złej rasy! Przyjmie się wasze ceny europejskie! Ale zarobię jeszcze na tem więcej, niż myślicie!

Nazajutrz, 16. listopada, kapitan Servadac, który chciał dopilnować wykonania swych rozkazów, jak tylko dnieć zaczęło, poszedł z Ben-Zufem i dwoma rosyjskimi majtkami na statek.

— No i cóż, Eleazarze — zawołał teraz pierwszy Ben-Zuf — jak się miewasz, stary łotrze?

— Jesteś pan bardzo łaskaw, panie Ben-Zuf — odpowiedział Izaak.

— Zrobimy więc z sobą mały układzik przyjacielski?

— Tak, przyjacielski... ale płacąc...

— Podług cen europejskich — dodał kapitan Servadac — nie wdając się w dalszą rozmowę.

— Dobrze, dobrze — rzekł dalej Ben-Zuf.— Nie będziesz długo czekał na wypłatę.

— Cóż panom potrzeba? — zapytał Izaak.

— Na dziś — odpowiedział Ben-Zuf — potrzeba nam kawy, tytoniu i cukru, po tuzinie kilo każdego z tych artykułów. Ale uważaj, aby to wszystko było w dobrym gatunku, bo inaczej biada twoim starym kościom. Znam siebie, a jestem dziś zwyczajnym kapralem.

— Ja myślałem, że pan jesteś adjutantem pana generalnego gubernatora? — powiedział żyd.

— Tak, Kaifaszu, podczas wielkich ceremonii, ale kapralem jestem, gdy trzeba iść na targ. No prędzej, nie traćmy czasu.

— Powiadasz, panie Ben-Zuf, dziesięć kilo kawy, dziesięć kilo cukru i dziesięć kilo tytoniu?

To powiedziawszy Izaak Hakhabut opuścił kabinę, zeszedł na spód *Hanzy* i powrócił wkrótce ztamtąd, przynosząc naprzód dziesięć paczek tytoniu francuskiego, doskonale owiniętych opaskami z pieczęcią państwa, każda paczka ważyć miała kilogram.

— Oto dziesięć kilogramów tytoniu — powiedział. — Po dwanaście funtów paczka, co czyni razem sto dwadzieścia franków!

Ben-Zuf chciał zapłacić cenę zwykłą, gdy kapitan Servadac, powstrzymując go — powiedział:

— Poczekaj, Ben-Zuf. Trzeba się przekonać, czy dobrze odważone.

— Masz słuszność, mój kapitanie.

— A toż na co? — odpowiedział Izaak Hakhabut. — Widzicie panowie, że opaski na tych paczkach nienaruszone, i że waga oznaczona jest na opaskach.

— Nic nie szkodzi — powiedział kapitan Servadac tonem, który nie dopuszczał repliki.

— No, stary, dajże-no swój bezmian! — powiedział Ben-Zuf.

Izaak wyszukał bezmian i zawiesił na haczyku kilogramową paczkę tytoniu.

— „Mein Gott“ — zawołał nagle.

I w istocie była nie lada przyczyna, która wywołała zeń ten wykrzyknik.

Wskutek osłabienia się siły ciężkości na powierzchni Galii, skazówka bezmianowa dla paczki ważącej kilogram na ziemi, wskazywała tylko sto trzydzieści trzy gramy.

— I cóż, mości Izaaku — powiedział kapitan, zachowując nienaruszenie poważną minę— widzisz, że dobrze zrobiłem, każąc ci odważyć tę paczkę?

— Ale, panie gubernatorze...

— No, dawaj!... — powiedział Ben-Zuf.

— Ale, panie Ben-Zuf!...

I nieszczęsny Izaak nie mógł się zdobyć na nic więcej. Zrozumiał on dobrze to zjawisko zmniejszenia się siły ciężenia. Widział dobrze, że wszyscy ci „niewierni“ mieli się odbić na zmniejszeniu wagi za cenę, której od nich wymagał. Ach, gdyby był miał wagi zwyczajne, nie nastąpiłoby to, jak to już wytłómaczono przy innej sposobności. Ale wag tych nie miał.

Próbował jeszcze protestować, rozczulić kapitana Servadaca, który, zdawało się, chciał pozostać niewzruszonym. Nie było to ani jego winą, ani jego towarzyszy;— płacąc więc za kilogram— miał prawo żądać, aby wskazówka bezmianu wskazywała kilogram.

Izaak Hakhabut musiał więc zastosować się do tych wymagań, co zrobił nie bez jęków, którym towarzyszyły wybuchy śmiechu Ben-Zufa i rosyjskich majtków. Co tam było żartów, co konceptów! Ostatecznie, za jeden kilogram tytoniu musiał dać siedm, a to samo było z cukrem i kawą.

— No, no, Harpagonie — powtarzał mu Ben-Zuf. — Czyż wolałbyś, żebyśmy to wszystko zabierali bez zapłaty.

Operacya skonczyła się nareszcie. Izaak Hakhabut dostarczył siedmdziesiąt kilogramów tytoniu, tyleż cukru i kawy, ale za każdy artykuł otrzymał tylko cenę dziesięciu kilogramów.

—Zresztą, jak mówił Ben-Zuf „była to wina Gallii. Po co Imć pan Izaak przybył handlować do Gallii?“

Ale wówczas kapitan Servadac, który chciał się zabawić Izaakiem, i powodowany uczuciem sprawiedliwości, którą zawsze zachowywał względem niego, kazał przywrócić ścisłą równowagę między cenami a wagą. Tym sposobem Izaak za siedmdziesiąt kilogramów otrzymał cenę siedmdziesięciu kilogramów.

Każdy się jednak zgodzi, że położenie, w jakiem się znajdował kapitan Servadac i jego towarzysze, łatwo mogło usprawiedliwić ten fantastyczny sposób traktowania handlowego układu.

Zresztą, jak już i w innych okazyach, Hektor Servadac widział, że Izaak udaje nieszczęśliwszego, niż nim był w istocie. W jego jękach i narzekaniach było coś podejrzanego. To się dawało uczuć.

Bądź co bądź, wszyscy opuścili *Hanzę*, a Izaak Hakhabut mógł z daleka jeszcze słyszeć głos wesołego Ben-Zufa, spiewającego tę piosnkę wojenną:

J'aime le son
Du clairon,
Du tambour, de la trompette,
Et ma joie est complète
Quand j'entends résonner le canon!

(C. d. n.)

Prośba — Piosenka.

Boże! za łask Twoich zdroje
Jaką Ci złożę podziękę?
Serce Tobie niosę moje,
W korną przelane piosenkę.

Ty je ocenisz; dla Ciebie
Odkryte tajniki ducha!
Osądź mnie! przytul do siebie,
I mojej prośby wysłuchaj.

Ojcze! wśród walk tego świata,
Gdzie żar nam kładą na ranie,
Daj mi dla bliźniego brata
Współczucie i pobłażanie.

Gdy przez ciernie, ścieżki kręte
Dążąc, ludzkość się mozoli,
Niech mi Twoje ramię święte
Da moc słodzenia niedoli.

Niech wola Twoja spełniona,
Niech będą spełnione cele;
Niechaj wśród bratniego grona
Widzę uśmiech i wesele.

A w chwilach, gdy jad zdradliwy
Pycha w sercu nam rozplenia,
Daj mi Ojcze dobrotliwy
Czystość myśli i sumienia.

Niech moją piosnkę ubogą
Tchnienie Twej łaski bogaci;
Niech zawsze serdeczną drogą
Niosę pożytek mej braci,

Ojcze! ostatnie błaganie!
I ja mam krwawiące blizny!
Łaski! łaski! Ojcze! Panie,
Łaski dla mojej ojczyzny!

M. Rodoć.

Dwie róże.

Róże dwie mam; jedna kwitnie za morzami,
Drugą rozwitą na mej piersi mam;
Obie mojemi wykarmione łzami,
Tu, na mej piersi, — za morzami tam.

Na tamtej kwieciu za morzami świeci,
W mroku jak rosa, — tęsknota i ból;
Tej tu gałązka różowo się kwieci,
Pączki jej pieścił światła złoty król.

Tamtej woń do mnie z za mórz tęskna płynie;
Ledwiem ją poczuł, a już tej tu woń
Umiera nagle, kwiat w bolu godzinie
Z ciernia mi wieniec zaciska na skroń!

W sercu się róże obie te rozwiły,
Zrośnięte ze mną obie do mogiły;
Na wieki dla mnie w te dwa kwiaty ściekło,
Niebo rozkoszy i boleści piekło.

Wonią i bolem do ziemi przykuty,
Z czaszą balsamu i z czaszą cykuty,
Z wyżyn niebieskich w noc zapadam ciemną,
Pokój odpycham — a walczę daremno.

Panie! te róże lub wyrwij mi z duszy;
Lub w bratnie prądy zlej obie ich wonie;
A gdy nie możesz, zlituj się katuszy —
Serce i róże utop w Twojem łonie!

Karol Brzozowski.

Niewdzięczna.

Blask świateł, muzyka, i kwiaty i wonie,
Czar balu upaja, wir tańca porywa...
Po pierwszym kadrylu stanąłem na stronie;
Jej postać przedemną w natłoku przepływa,
I oczy ku sobie pociąga i nęci,
I obraz swój ryje na wieki w pamięci.

A z okna framugi, gałązka bluszczowa
Zwisała przedemną majowym uplotem:
Ta krata zieleni w półmroku mnie chowa,
I w ramy ujmuje na świateł tle złotem
Jej postać, rzuconą jak czaru zaklęciem,
W pół była dziewicą, w pół jeszcze dziecięciem.

Uśmiechem promienna, różowa ze znoju,
Na ramię tancerza tak wdzięcznie się słania,
Jak wiotka gałązka dzikiego powoju
Gdy skałę oplecie uściskiem kochania.
A za nią Jej włosów rozwiała się burza.
A w mroku ich błyska bladością swą róża.

Nareszcie znużona upadła w siedzenie,
Gdy właśnie znać dają, że pora kolacyi;
Ja, milcząc nią moje poiłem wejrzenie,
I w głowie już miałem początek waryacyi;
Więc rękę podaję, i wiodę do stoła,
I dumnym, że wiodę rusałkę, anioła;

Przy stole nie jadłem, ni piłem też wcale,
Wciąż duszą i okiem do lic Jej przykuty;
Gdy drobnych się ustek rozbiegną korale,
— Tym ruchem ja błogie liczyłem minuty —
Tom myślał, że ona rozmawia z duchami,
Niepewien czy czuwam, czy łudzę się snami.

Lecz ciszy nie śmiałem zamącić rozmową,
By razem nie spłoszyć rajskiego widzenia;
Nareszcie ust koral rozchylon na nowo,
Gdy z lekka potrąca szept cichy westchnienia,
Ja, czując, że milczeć już grzeczność mi wzbrania,
Poczynam rozmowę tem słowem pytania:

„O Pani! i czemuż śród szału zabawy
Przypisać westchnienie co z łona ulata?
Twych pereł we włosach blask przyćmił się mglawy,
I listek z Twojego osypał się kwiata,
Ach! czemuż jutrzenka lic Twoich pobladła?“
„Mój panie, to senność mnie taka napadła!“

Co słyszę? niewdzięczna! i tegoż jej mało
Żem w ciszy ją serca nazywał królową?...
Jam patrzał i wielbił; a jej się zachciało
Bym zwykłą śmiertelnych ją bawił rozmową!
Gdym dumał, czy mogę ją wliczyć w świat cudów.
Rusałka, o zgrozo! zasnęła mi z nudów!

Iza.

PANNA KAPITANÓWNA

przez

MARKA POLNICZA.

(Ciąg dalszy).

— On?... ale śni się panu!... albo pan jego stronę trzymasz...

— Cóżbym miał za interes? przecież to o mój sekretaryat idzie.

— Ja nie wiem — ale pan widocznie trzymasz jego stronę, kiedy pan nie chcesz, aby ślub został odroczony... co?... Puść mnie pan!

I wyrywając ramię, szedł pan Antoni na schody.

— Nie, nie puszczę! — i wstrzymał go Floryan przemocą.

— Cóż to znaczy! gwałt!

Zimny pot wystąpił na czoło Floryanowi.

— Panie dyrektorze... przebacz... propozycya! propozycya, o której mówiliśmy w cukierni... to ja panu czynię! Zróbmy ugodę.

— Jaka propozycya? co za ugodę?

— Trzecia część!

— Co za trzecia część? Nic nie rozumiem!

— Trzecia część spadku, byleś pan nie wspominał o śmierci Czecieczewicza...

— Jakto? pan? to pan mi ofiarujesz tę trzecią część? jakąż pan możesz mieć szansę? co?..

— Mam wszelką szansę — panna mnie kocha — Mikołaja do wszystkiego zmusić potrafię, byle się nie dowiedział o spadku... mam środek zmuszenia go... Chodź pan do ogrodu, tu na schodach mógłby nas kto spostrzedz, podsłuchać... Chodź pan!..

I pociągnął go prawie gwałtem za sobą do altany.

— Panie dyrektorze! słowem honoru panu zaręczam, rzeczy tak stoją: ja albo Mikołaj — pan nie masz żadnej szansy. Ja Mikołaja skłonić potrafię, aby zerwał — ale uczynię to tylko w takim razie, jeżeli to się na moją obróci korzyść. Pomóż mi pan! żądam tylko milczenia o śmierci Czecieczewicza. A w zamian ofiaruję trzecią część spadku...

— Hm... jak pan możesz rozporządzać tym spadkiem?.. Któż wie, czy panna Wanda pójdzie za pana i czy zgodziłaby się na ten układ... co?..

— Spiszmy ugodę, ona podpisze.

— Podpisze? co?.. hm!.. ale ta trzecia część? hm, kto wie ile to? może bagatela... hm! a ja przyszedłszy tam, muszę coś przecie powiedzieć o Czecieczewiczu... co? Będą mnie pytać, czemu go nie przywiozłem... cóż ja powiem?

— Powiedz pan, że już wyszedł z niebezpieczeństwa, ale jeszcze leży... albo, że wyjechał, albo co pan chcesz zresztą.

— Co chcę! co chcę!.. będę musiał coś kłamać... a ja prawdą żyję na świecie!.. co?.. A jakie nieprzyjemności mnie potem spotkać jeszcze mogą!..

— Powiesz pan, żeś zataił prawdę, aby nie zepsuć familijnej uroczystości. — Panie, zgódź się pan! czas upływa! Do śmierci panu będę wdzięczny! trzecia część!..

— Połowa! — zaproponował dyrektor.

— Ależ panie!

— No, połowa! co?... chcesz pan?... co?.. To wielkie ryzyko z mojej strony!.. Pan nie wiesz na co ja się narażam... No, zresztą i panna małoletnia... któż wie, co ten podpis znaczy na takim akcie?.. no, zresztą! ale połowa! połowa!

— Ależ...

— Połowa — inaczej nie przystaję. Ja panu dobrze życzę i mam prawdziwą jakąś sympatyę do kochanego pana... ale interes interesem!.. Połowa! co?.. No, decydujesz się pan?.. czas upływa... Trzeba iść...

— Ha, niech i tak będzie. Połowa! ale i sekretaryat mój?

— Dobrze — ale oboje musicie podpisać.

— Podpiszemy, podpiszemy!

— Wyjął Florek z kieszeni bilet wizytowy i zatemperowawszy ołówek, napisał na drugiej stronie.

„W razie połączenia się naszego ślubem małżeńskim, obowiązujemy się zrzec na rzecz pana Antoniego*** połowy spadku po panu Januarym Czecieczewiczu, gdyby tenże testament na naszą korzyść rozporządził. W dowód czego dokument niniejszy własnoręcznie podpisujemy.“

— Przeczytaj pan; jeżeli to wystarcza, podpiszemy bezzwłocznie. Tymczasem daj mi pan swoją kartę wizytową, abym drugi dokument spisał: zobowiązanie się pana co do wyjednania mi posady.

— Oto jest mój bilet. — Ale w tym pierwszym akcie stawiasz pan trudniejsze warunki niż było umówione... co?.. Chciałeś tylko, abym milczał o Czecieczewiczu, a teraz z treści dokumentu wynika, iż żądasz, abym popierał twoje projekta...

— Za cóżby panna Wanda miała oddać tak znaczną kwotę, gdybyśmy się nie zapewnili, że pan dołożysz wszelkiego starania, aby ten związek przyszedł do skutku?... Nie mogę zresztą oddać panu pół spadku inaczej, tylko jako mąż spadkobierczyni...

— No... mniejsza! Brak wprawdzie wielu formalności — i podpisu świadków!... widać, żeś pan nie jurysta... co?... ale niech już i tak zostanie. (Tu dodał pan Antoni z emfazą): Polegam na waszem uczuciu honoru, że dotrzymacie. Byle tylko panna podpisała... ale sama, własnoręcznie!

— Dobrze. Oto drugi dokument.

„W razie ożenienia pana Floryana *** z panną Wandą Kaperman, obowiązuję się wyjednać temuż panu Floryanowi posadę pierwszego sekretarza przy Banku... Gdybym tego nie uczynił, zapłacę kwotę...“

— Tu chciej pan dyrektor wpisać kwotę jaką uznasz za stosowną.

— Ale to już mniejsza! Będziesz sekretarzem jak dwa a dwa cztery — byleś się ożenił, a mnie odstąpił połowę spadku.

To mówiąc dopisał pan Antoni.

„.... zapłacę kwotę równającą się rocznej pensyi pierwszego sekretarza i płacić ją będę przez dwa lata następne.“

— Ale nim ten dokument podpiszę, muszę wprzódy mieć tamten w ręku.

Florek wyrwał z pularesu czystą kartkę papieru i napisał na niej te słowa:

„Najdroższa moja jeśli chcesz być moją na wieki, podpisz załączony dokument, wyjdź na ganek od strony ogrodu i rzuć panu Antoniemu z tem słowem: podpisałam własnoręcznie.“

Zawinął liścik i akt cesyi w kawałek gazety i zostawiając Antoniego w ogródku, sam udał się na górę.

XXI.

Panna Wanda stała przy oknie pośród grona panien, żegnających się ze swoją towarzyszką. Jedne patrzyły na nią z zazdrością, winszowały z przekąsem, drugie ze współczuciem spoglądały na jej twarz bladą i zapłakane oczęta.

Niepodobna było zbliżyć się Floryanowi do niej, a tem mniej wymienić z nią słów kilku bez zwrócenia uwagi i doręczyć trzymany w ręku pakiecik.

Zagadnął tedy, w braku lepszego środka, jednę z jej przyjaciółek:

— Panno Melanio, mam do pani prożbę...

— Słucham.

— Pani kochasz pannę Wandę?

— O, całem sercem! to moja najlepsza przyjaciółka.

— To chciej pani bezzwłocznie wręczyć jej ten pakiecik, lecz tak, aby nikt nie spostrzegł.

— A cóż to jest?

— Nie pytaj pani, ale oddaj jej... i powiedz, że to odemnie..

— Od pana?

— Tak!... ja także kocham pannę Wandę całem sercem...

— Pan?.. domyślałam się tego!... Ale dziś, gdy ma iść za pana Mikołaja — chcesz pan...

— Spiesz pani, na miłość Boską.

— O, nie!

— Czemu?

— Patrz pan — ona taka blada, smutna... Jażbym miała niepokoić jej serce jakimś listem od pana? — o nie, toby było niegodnie, panie Floryanie!... Skoro się już stało — powinieneś pan o niej zapomnieć... i ona powinna zapomnieć, jeżeli była panu życzliwą... to dziś jej świętym obowiązkiem...

— Panno Melanio! przez litość! wszak jeszcze nie po ślubie!... Wszystko może się jeszcze zmienić.

— O już za późno!... Toby było grzechem, rozkrwawiać jej serce! Pan ją może chcesz namówić do jakiego szalonego kroku? Nie, ja panu w tem nie pomogę! za nic w świecie!

I odeszła.

Floryan spróbował znowu zbliżyć się do Wandy. Napróżno.

Obejrzał się po salonie, robiąc przegląd obecnych osób, czy która nie nadałaby się do tej misyi tajemnej.

W salonie dziwaczna odbywała się scena. Szaleństwo Kalasantego coraz gwałtowniejszemi objawiało się wybuchami.

Na chwilę uspokojony gromkim rozkazem lub groźbą pana Mikołaja, stawał w kącie w pokornej postawie, trąc i skubiąc swą brodę, lecz zaledwie bratanek się odwrócił, odskakiwał eks-profesor jednym susem na środek salonu i poufale biorąc pod ramię pierwszą lepszą osobę, która mu się nawinęła, mężczyznę czy kobietę, żądał od niej czułym głosem, „aby mu swoją kwadraturę pokazała.“

— Kopernik był geniuszem, ale tu idzie o większe odkrycie! mój drogi panie, mój najdroższy!... już mi tylko kilka kwadratur brakuje, a będę miał całe koło!...

— Ale na cóż panu tej mojej kwadratury? — zapytał śmiejąc się pan kasyer Tecudziński.

— Jakto na co? Do wymiaru koła! Cyfry nie mylą!... A to tak łatwo kwadraty zesumować!...

— No, a jakże panu pokazać tę kwadraturę? — śmiejąc się basem zapytał pan sędzia.

— Postaw się pan na głowie! prędzej, prędzej, prędzej. .

I pochwycił go za nieszczęsne klapy od fraka, z których jedna już była naderwana.

— Kalasanty! — zawołał na niego groźnie Mikołaj.

— Cóż ja złego robię? przecież ja teraz grzecznie proszę!

I z całej siły pociągnął za klapy pana Afrodziewicza, i uwiesił się na nich. Zaledwie udało się Mikołajowi oswobodzić sędziego.

— Nie, niepodobna! ja go muszę odwieźć do szpitala.

— Ale my sem go zwiążemy tymczasem, to najlepszy sposób na waryata — a po ślubie go odwieziesz, „wo du willst.“

Mikołaj wyprowadził stryjaszka do sieni, a tam, czy chłodniejsze powietrze, które go owionęło, czy nowe napomnienia, czy energiczny może tej reprymendy alegat, doprowadziły chwilowo Kalasantego do opamiętania. Oddał go Mikołaj pod straż jednemu ze sług domowych i zakazał puszczać do pokoju.

Profesor stał spokojnie, oparty plecami o ścianę, przebierał palcami i przypatrywał się paznokciom prawej ręki a lewą zawzięcie skubał brodę. (C. d. n.)

PLOTKI I NIE-PLOTKI

WARSZAWSKIE.

V.

Niech żyje Warszawka!

Mówcie co chcecie, ja zawsze powiem niech żyje Warszawka! Kocham nasze miasteczko i przepadam za niem z jego wszystkimi przymiotami i wadami. Uwielbiam jego dobre strony, toleruję wady, gdyż one nie pochodzą z zawiści, nędzy moralnej, lub wrodzonych złych instynktów, lecz z lekkomyślności charakteru i trzpiotowactwa ludzi, którzy mają za dużo spraw, interesów, rozrywek, miłostek, skandalów i plotek na głowach, aby mieli czas myśleć o sobie i zastanawiać się nad swemi postępkami.

Kocham Warszawkę, a przymioty jej są tak jasne i świecące, że ślepi ich tylko nie widzą. Wesołość, pełna swobody, i uśmiech naturalny a przyciągający; optymizm zawsze okryty majową zielenią; wiara i nadzieja, która się oprze wszelkim pokusom wrogów wynarodowienia nas; miłość do swego języka, do swych tradycyi, do swej ziemi, do swego miasteczka, przykuwająca do miejsca warszawiaka, i robiąca z niego niezmordowanego a czułego kochanka swej stolicy. Patryotyzm niezabrudzony żadnemi oficyalnemi c. k., samorodny, czysty, może zbyt idealny, ale szlachetny. Gościnność serdeczna i otwarta, robiąca warszawiaków tak uprzejmymi w domach, elegancya, swoboda w układzie, od różniająca ich na ulicy we wszystkich miastach Europy. Język polski dźwięczny, czysty, zwroty śmiałe, wymowa pociągająca, dowcip nie gryzący, przytomność i obejście towarzyskie sprawiają, że warszawiacy są ozdobą każdego towarzystwa.

A że są wady? Któż jest bez wad, pomyślmy o ciężkiej niewoli, o panowaniu dziczy przez lat sto i powiedzmy prawdę. Czyby gdzieindziej w innem kraju i mieście, a w tak samo ciężkich okolicznościach wady nie były stokroć razy większe?...

Nie narzekajmy! lecz znów nie okadzajmy się, jak to robi Warszawka sama dla siebie i jej prasa. Nie okadzajmy się, bo dym kadzideł odurzy nas, zawróci głowy, a oczy napełni łzami rozczulenia nad własną wielkością, że swobodnie patrzeć nie będziemy mogli.

* * *

Warszawka czyha na sposobność zamanifestowania swego patryotyzmu wszędzie i zawsze, przy każdej sposobności. Śmierć Piusa IX. dała nowy pochop do cichych a znaczących manifestacyi przeciw schizmie, na cześć zwierzchnika kościoła katolickiego, a przedewszystkiem przyjaciela Polski. Kościoły były pełne, modły głośne i gorące. U nas tak zawsze, gdy idzie o poświadczenie żywotności narodu.

* * *

I znowu przejść muszę do swego niezbyt zaszczytnego rzemiosła.

Otrębywane z wież wszystkich redakcyi przez szpalty pism, w formie krótkich telegramów: Już role rozdane, już rozpoczęte próby czytane! Od jutra ustne. Już tylko tydzień, trzy dni, dwa — jedna noc nas rozdziela od roskoszy zobaczenia arcydzieła *naszego* narodowego kochanego dramaturga.

Dnia 8go lutego afisze porozlepiano na ulicach, a na nich *Pogodzeni z Losem* unieśmiertelnić miały nazwiska, księcia kuratora (którego wcale niepotrzebnie awansują do cudzych żon, albowiem siwawo włosy książę za młodu wyawansował się zupełnie) Czaickiego od tego, że się czai — popełniając nikczemności cicho — Prysznickiego dla tego, że zażywa prysznitza, a dodano mu tytuł barona, co się gimnastykuje(!?). Ślizgawski — ślizgający się po śliskich posadzkach, i Fiszbinowicz — giętki jak fiszbin, a nareszcie dr. Senzi — albowiem mało mamy dobrych doktorów rodaków, i wolimy cudzoziemskie nazwiska (głęboka satyra, chociaż zupełnie niewłaściwa, gdyż doktorów nie rodaków oddawna uważamy za szarlatanów). Kto to był ten doktor Senzi, nie wiemy... Wszystkie wymienione figury miały to być typy naszej społeczności polsko-warszawskiej(!?) a przy bliższem poznaniu ich okazało się, że nie są to typy, lecz wyjątkowi nędzni nikczemnicy, lub w najlepszym razie idyoci.

Do całej tej zgrai, której jedna połowa kwalifikuje się do kryminału, a druga do bonifratrów (czubków), przybywa Kaźmierz Łanicki, okradający brata na majątku, a usiłujący sprzedać żonę swą księciu, szczęściem wyawansowanemu.

Dla dokompletowania zaś dzieła występuje charakter dodatni. Jerzy, obywatel ziemski, gardzący pieniądzmi jako mamoną świata?! O panu Jerzym powiedzieć musimy, że chyba to jest ostatni głupiec, nieznający w XIX. wieku wartości kapitału, choćby w pracy dla narodu, choćby dla założenia jednej uczciwej instytucyi, a tyle ich nam potrzeba... W ostatnim razie pieniądzeby się zdały na ową uwielbianą „dobroczynność,“ czyli na umundurowanie i poznanie nędzy... Jerzy ideolog nic tego nie rozumie, odtrąca i „rzuca pod nogi nieomal akt własności spadku“ — słowa p. Stanisława Krzemińskiego w „Bluszczu,“ na stronicy 83, w kolumnie trzeciej zapisane.

Nareszcie Czaicki okrada księcia i ucieka, doktór Senzi kocha się w Maryi, ale jest fagasem, książę radby się zaawansować, ale nie może, bo Marya płacze. Tylko płacze, ale nie ucieka! Ho, ho, gdyby nie płakała?! Leonia, siostra Maryi, kocha Jerzego, a prosi go, aby jej nie kochał, lecz trawił czas na poprawieniu Kaźmierza. Jerzy odrzuca pieniądze, ale zagarnia majątek, Maryę i Leonię, a Kaźmierza wyprawia za granicę na poprawę, bo Kaźmierz chce sobie tak samo jak w „Złem ziarnie“ w łeb strzelić, tylko tak samo nie może, rzuca rewolwer i dalejże w prośby do Pana Boga... Nie wspominając nic o fiszbinach, ślizgawkach i prysznicach, tyle niedorzeczności wpakować do jednej sztuki, w jednem miejscu zgromadzić, mógł tylko autor „Nietoperzy.“

Nareszcie Nemezys się zemściła za dwieście krytyk i recenzyi — często złośliwych, a prawie zawsze powierzchownych, bez zrozumienia rzeczy pisanych. Łatwiej krytykować Sardou i Dumasa, łatwiej dowodzić, że dla tego jest talent, że się zużyło pisząc o sztuce niedorzeczności aż cztery kolumny... Łatwiej to, jak napisać komedyę, któraby o jedną stopę była wyższą od „Nietoperzy.“

Chcąc napisać komedyę, przedewszystkiem trzeba na stosunki ludzkie patrzeć z nieco wyższego stanowiska. Bo wtedy nie będzie się wyszukiwać z mikroskopem brudów rzadkich jednostek, lub głupstw idyotów, lecz znajdzie się łatwo wady, lub śmieszności obejmujące całe społeczeństwo, lub jego warstwy. A wtedy nie będzie również potrzeba przeciwstawiać wyrafinowej nikczemności, idylicznych głupców, niesmacznych deklamatorów, odrzucających dla efektu środki do szerszego działania i służenia krajowi.

Kategorya tych bezinteresownych, bezcelowych romantyków w naszej literaturze, jest gorszą i zgubniejszy wpływ wywiera na społeczeństwo, jak galerya nikczemników i idiotów, którzy sami za siebie mówią. Człowiek szerszych poglądów patrzy na takiego Jerzego, wzdryga się i myśli sobie: Ach jakiż to błazen!... Lecz na masy bohater tego rodzaju oddziaływa demoralizująco, bo będąc niby rozumnym, uczciwym, tak słabo przedstawia w oczach widzów dodatnie strony użycia kapitału. Publiczność się patrzy, i przekonywa się, że kapitał jest niczem tylko *użyciem*, mamoną, że go można nietylko bezkarnie odrzucać, lub roztrwaniać, lecz nawet z bohaterstwem poświęcać, na usprawiedliwienie nikczemności nikczemników.

Chcąc się zasłonić przed złośliwością i posądzeniami, przytaczam parę krótkich ustępów o Pogodzonych z losem z przychylnego autorowi „Kuryerka,“ którego dewiza: „wszystko chwalić, nikogo nie ganić.“ Dzień 9. lutego, szpalta 4ta, czytamy co następuje:

„Przyszliśmy wczoraj do Teatru Rozmaitości, pewni prawie, że autor utalentowany istotnie wzruszy nas, zabawi, lub zajmie żywo, a przynajmniej poda materyał obfity do napisania obszernego fejletonu; wyszliśmy zaś ztamtąd znużeni, znudzeni i... nic nie rozumiejący, o co właśnie w sztuce nowej autorowi chodziło.“

. . . .

„Doprawdy, rzadko kiedy bogatszy i bardziej obiecujący tytuł pokrywał utwór tak... chybiony!

. . . .

„A teraz powiedzcie nam czytelnicy, rozumie się, że pytamy tych tylko, którzy asystowali wczorajszemu pogrzebowi „Pogodzonych z losem,“ powiedzcie nam, prosimy, co to był za fantastyczny książę... bezimienny, którego postać tajemniczą przedstawiał tak łagodnie pan Grzywiński?...

*

„Doprawdy tego księcia, tego... Xa, w „Proporcyi“... nie arytmetycznej, pana Lubowskiego nikt już chyba odgadnąć i zdefiniować nie zdoła!“

„P. S. Ale! ale! Zapomnieliśmy dodać, że dyrekcya sprawiła do nowej sztuki nową dekoracyę... jednę, a część widzów, najbardziej „Pogodzonych z losem“... wywołała autora po 4ym jego komedyi akcie.“

Tyle „Kuryerek“ — i jak na niego — naprawdę zuchwale, dowcipnie a krótko...

Pan Stanisław Krzemiński wyręczając przyjaciela w „Bluszczu,“ z całą sumiennością napisał treść komedyi „Pogodzonych z Losem.“ Zadanie nie lada! Lecz i na treści się skończyło. Chociaż sama treść fatalne rzuca światło na sztukę.

Czekajmy co napisze Lewestam w „Kłosach.“ Założę się, że treść krytyki da się zamknąć w tych słowach: „Wprawdzie są tam małe usterki, lecz z całego dzieła buchają, nakształt ognistych języków, płomienie gieniuszu.“

Czy uwierzycie?! Nieszczęśliwe plotki dostały się do Warszawy, i rozumie się, wywołały oburzenie. Pierwszy je czytał Lubowski i pogroził autorowi ręką zaciśniętą w pięść. Tą samą ręką, która pisała oryginalne dzieło „O Renesansie,“ nic a nic, wierzajcie na słowo, nie tłumaczone z Taine'a. Tylko „podług Taine'a.“ Po nim czytali biedne plotki redaktorzy i ich satelici... Ogólne oburzenie, a nareszcie litość nad biednym szaleńcem, który skutkiem podrażnienia mózgu, rzuca się na świętości narodowe przepędzające ranki w redakcyach, a południe u kochanego *naszego* Stempka.

Wyjątkowo Wacio oburzył się „Plotkami,“ oburzyła się więc i Warszawka, oburzeniem Lubowskiego, Wacia i wielu innych potentatów umysłowych.

Po przedstawieniu „Pogodzonych z losem,“ w których ma być odźwierciedlone społeczeństwo warszawskie, a w tem odźwierciedleniu występują same ohydne nikczemności, lub idjotyzm... Po przedstawieniu „Pogodzonych z losem,“ w których nikczemnik sprzedaje żonę, uczciwą kobietę, dobrą obywatelkę, Polkę, a ta zostaje na wyznaczonej schadzce, nie mając nic na obronę swoją, jak tylko łzy... Łzy pięknej i młodej kobiety, są nader animujące, lubimy je pocałunkami osuszać... I gdyby książę nie był z młodości zbyt „wyawansowany“ osuszyłby je z pewnością... Po przedstawieniu „Pogodzonych z losem,“ nikt się nie obraził, a byli tacy, co klaskali gorąco.

Porównajcie tendencyę „Plotek“ z „Pogodzonymi z losem,“ a zgodzić się musicie, że albo Warszawka straciła wszelki smak i wszelką świadomość swej godności, albo że „Pogodzeni“ tak są daleko od prawdy, że nikt niemi obrazić się nie mógł, gdy tymczasem „Plotki“ pokłuły powagi, lecz o społeczeństwie mówią uczciwie, uczciwych Polek nie sprzedają książętom, ani wyawansowanym, ani zaawansowanym.

Prawda w oczy kole, o *nie-prawdę* nikt się nie gniewa.

Nie wiem czy p. Edward Lubowski ma tyle talentu, ile mu poświęciłem wierszy, lecz musiałem się dłużej zatrzymać nad jego ostatniem arcydziełem, wprawdzie nie dla niego, lecz dla wykazania usposobień, wyrobionych poglądów i instynktów warszawskiego społeczeństwa... Ludzie nie znoszą prawdy, gdy tymczasem wzruszają ramionami na nieprawdopodobne potwarze. I jeżeli u was znaleźli się tacy, którym „Plotki“ wypalają policzki rumieńcami, to ci muszą się gniewać i irytować. (C. d. n.)

Przegląd nowszej literatury historycznej.

przez

M. Chylińskiego.

(Dokończenie).

II.

(*Publikacye archiwalnych dokumentów. Dzieła Rankego, Droysena, Onckena. Pruskie papiery rządowe w opracowaniu Kosera. Źródła do historyi austryackiej polityki od 1790-1801 wyd. Vivenota. Dzieła A. Beera. Prace Kalinki. Jarochowskiego: Sprawa Kalksteina. Historyczne opowiadania Szujskiego. Kodeks Wielkopolski.*)

Ten tak świeżo rozbudzony ruch na polu wydawnictwa źródeł dziejowych przybrał i u nas w ostatnich szczególnie latach szersze rozmiary i dziś już wyszły z ukrycia nowe dokumenta, bardziej jasne światło na naszą dziejową przeszłość rzucające. Najzaszczytniejsze pod tym względem miejsce zajmuje ks. Waleryan Kalinka. Bystry, krytyczny wzrok tego pisarza, jego uzdolnienie polityczne, szeroka znajomość historycznej literatury, sumienne zbadanie skarbów archiwum wiedeńskiego i zbiorów krajowych, obok wykwintności i barwności stylu, oto świetne zalety źródłowych prac ks. Kalinki.*) Pominąwszy już znakomite dzieło tego autora, ogłoszone przed 10 laty, a znane dobrze i szerszej publiczności polskiej p. t. *Ostatnie lata panowania St. Augusta*, zawierające w sobie cenne dokumenta do II. i III. podziału, musimy wspomnieć o późniejszej jego pracy: *Polityka dworu austryackiego w sprawie konstytucyi 3 maja.* Tu to na podstawie dokumentów czerpanych z cesarskiego archiwum wiedeńskiego wykazuje autor dowodnie, że Austrya proponowała zaraz w początku dworom europejskim przyjęcie rzetelnej w obec Polski polityki. Leopold II. bowiem dowiedziawszy się o zaszłych w Polsce wypadkach na dniu 3 maja, każe natychmiast redagować Kaunitzowi depeszę do Petersburga, w której stary kanclerz przedstawia treściwie politykę swego dworu, dodając, że tak Austrya jak i Rosya powinny być w gruncie z tej zmiany zupełnie zadowolone i że obowiązkiem ich jest wyrazić głośno w Dreźnie i Warszawie swe zadowolenie. Depeszę ks. Kaunitza odłożył jednak wicekanclerz Ostermann tymczasowo na bok, gdyż cała uwaga gabinetu petersburskiego skupiała się około sprawy tureckiej. Przywiedziony jednak wkrótce potem do skutku alians Rosyi z Gustawem szwedzkim i zawarty 8 stycz. 1792 r. pokój w Jassach z Portą, rozpętał w jednej chwili Katarzynie ręce do wolnego działania. Przeprowadzone w Polsce innowacye, niszczące wpływ Rosyi na sprawy polskie, nie przypadały do smaku carowej, a ztąd też uporawszy się z Turcyą, wysyła dla Ostermana na ręce ks. Galicyna do Wiednia urzędowe wyrażenie opinii gabinetu petersburskiego, w którem oświadcza, że konstytucya polska nie odpowiadająca interesom Rosyi za jakąkolwiek cenę obalona być musi.

Obecnie przygotowuje ks. Kalinka do druku kilkotomowe dzieło opierając się również na dyplomatycznych aktach p. t. Sejm czteroletni. „Przegląd Polski“ w ostatnich zeszytach wydrukował dwa ustępy z tego dzieła. Pierwszy nosi tytuł: „Plany pruskie podczas wojny rossyjsko-tureckiej r. 1788“, drugi zaś zajmuje się aliansem rossyjsko-polskim.

Nie podobna w niniejszym artykule podawać całego długiego szeregu prac, opierających się na dokumentach archiwalnych. Mnoga ilość tychże mieści się w publikacyach Krakowskiej Akademii Umiejętności, których przeglądem zajmiemy się w jednym z następnych artykułów. Na tem miejscu niech nam wolno będzie wspomnieć jeszcze o rozprawie p. Kaź. Jarochowskiego, pomieszczonej w warszawskim Ateneum z r. 1877 p. t. *Sprawa Kalksteina* (1670 – 1672). Rzecz cała, osnuta na aktach tajnego archiwum berlińskiego, dotyczy tragicznej, krwawą plamą w dziejach Polski 17 w. naznaczonej sprawy Krystyna Ludwika Kalksteina, który w obliczu dziejów stał się wyrazem i reprezentantem opozycyi pruskiej, przeciw władzy elektorskiej na dworze warszawskim. Elektor Fryderyk Wilhelm chce zniszczyć niebezpiecznego sobie Kalksteina, i każe w sposób oburzający, gwałtowny, pochwycić go w Warszawie, a wytoczoną następnie komedyę procesową ukończono wyrokiem z 8 stycznia 1672 r. skazującym pułkownika Kr. L Kalksteina, jako przeniewiercę, fałszerza i oszczercę na śmierć przez ucięcie głowy mieczem i utratę majątku. Kalkstein dał tedy gardło za sprawę, której przez cały przeciąg swego życia nieustraszenie bronił, i wraz z Hieronimem Rothem pozostał ostatnim rzecznikiem swobód pruskich, ostatnim wyobrazicielem idei federacyjnego węzła pomiędzy krajem pruskim a Rzecząpospolitą polską. Z powodu recenzyi tejże rozprawy, ogłoszonej przez prof. Zakrzewskiego w „Przeglądzie krytycznym,“ wywiązała się pomiędzy autorem a recenzentem rozwlekła polemika w „Ruchu literackim,“ która jednak prowadzona w tonie nad wszelki wyraz namiętnym, nauce samej zgoła żadnej korzyści przynieść nie mogła.

Przeglądając ogłoszone w r. 1876 przez profesora Józefa Szujskiego „Roztrząsania i opowiadania historyczne“, znajdujemy tam rozrzucone płody samodzielnych, ze ścisłą metodą krytyczną przeprowadzonych badań, któremi się autor zajmywał w latach 1866—1870. Na papierach czerpanych z archiwum wiedeńskiego osnute są „Stosunki dyplomatyczne Zyg. z domem austryackim“, a również na rękopiśmiennych materyałach opiera się opowiadanie p. t. Jerzy Ożarowski i kardynał Fleury“ (1733 – 1736).

Przed zamknięciem niniejszego artykułu winniśmy jeszcze wspomnieć o ukazaniu się pierwszego tomu „*Kodeksu dyplomatycznego Wielkopolski,*“ wydanego staraniem Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego, a nakładem Biblioteki Kórnickiej. Wcielono weń dokumenta tak już drukowane jak dotąd nie ogłoszone od r. 984 do 1287, numerów wszystkich obejmuje 616. Dzieło przypisane Janowi z Kościelca Działyńskiemu, który hojnie przyczynił się funduszami własnymi do wydania niniejszego kodeksu, stanowiącego bezwątpienia ważny przyczynek dla ścisłych poszukiwań historycznych.

Dzieło całe przedstawi zbiór dokumentów tyczących się Wielkopolski, a sięgających do r. 1400. Jakkolwiek bowiem r. 1507 przez nasze powagi naukowe przyjęty jest za ostatni kres polskich kodeksów dyplomatycznych, to jednak wydawcy doprowadzają zbiór dokumentów tylko do r. 1400, gdyż odtąd ogrom materyału tak potężnieje, że już same zewnętrze względy stawałyby na przeszkodzie jednolitemu przeprowadzeniu dzieła. Rok 1400 uważają wydawcy za epokę, od której winien być kodeks Wielkopolski zastąpiony Regestami, prowadzonemi np. w sposób Regestów historyi czeskiej Erbenra i Emlea tj. w obszernych streszczeniach mniej ważnych dokumentów, wzbogaconych jednakże dosłownemi ustępami z miejsc wybitniejszych, a ścisłem oddaniem całych dokumentów ważniejszych.

Co do sposobu samego wydania, trzymano się, o ile można było, prawideł, wskazanych przez G. Waitza, pierwszorzędną na tem polu powagę, w artykule: *Wie soll man Urkunden ediren?* publikowanym w 3 t. Sybla Historische Ztschft. Materyał do całego dzieła ułożono chronologicznie, każdy dyplomat opatrzono na czele numerem bieżącym, a pod nim, jako znamię, podano kto, kiedy i gdzie go wystawił. Wszędzie, gdzie tylko można było, używano samego oryginału, a z transsumptów, druków, kopiaryuszów czerpano tylko wtedy, gdy do samego oryginału nie zdołano dotrzeć. Cały zgromadzony materyał kodeksu podzielono na 3 różne części i w trzech tomach takowy ogłoszonym będzie, do tomu czwartego zaś przeznaczono rejestr, poczet 64 pieczęci chromolitografowanych i małą mapę Wielkopolski z epoki Piastów.

Tom I. poprzedza krótki opis manuskryptów, z których wydawcy po części materyał swój czerpali i pracowicie na 42 stronicach złożony indeks. Czy niniejsza publikacya co do sposobu wydania odpowiada w zupełności żądaniom, jakie stawiają uczeni wydawcom starych dyplomatów, to pozostawiamy umiejętnemu ocenieniu biegłych na tem polu pracowników naszych.

M. Chyliński.

*) Wszakże nieobeznanym dokładnie z dziejami ojczystemi czytać dzieł Kalinki nie radzimy, tak są bowiem tendencyjne i z takim jezuickim kunsztem tendencya w nich jest ukryta, że czytelnik łatwo na manowce wyprowadzonym być może. (Przyp. Red.)

Piśmiennictwo niemieckie.

Gedanken über die Socialwissenschaft der Zukunft von Paul v. Lilienfeld. Mitau. Erster Theil, 1873. Zweiter Theil, 1878.

Dokończenie).

Haeckel zwrócił uwagę na równoległość osobnikowego, paleontologicznego i systematycznego rozwoju w świecie zwierzęcym. „Szereg rozwoju wyrobionych już kształtów, powiada on, wykazany w rozmaitych stopniach różniczkowania i postępu ustrojowego układu (systematu), a zwany przez nas szeregiem systematycznego rozwoju, jest równoległym szeregowi paleontologicznego rozwoju, będąc zestawieniem anatomicznych wyników tego ostatniego, i jest równoległym szeregowi osobnikowego rozwoju, albowiem ten jest znowu równoległym paleontologicznemu. Dwie równoległe trzeciej są równoległe między sobą". Powiada to w swoich *Dziejach utworzenia przyrody*. W *Ogólnej morfologii* zaś powiada: „potrójna równoległość filetycznego (paleontologicznego), biontycznego (osobnikowego) i systematycznego rozwoju, zarówno jak i wszystkie inne ogólne zjawiska rozwoju, dają się wytłumaczyć prosto i zupełnie przez teoryę pochodzenia (Darwina); bez tej ostatniej niepodobna by było zupełnie objaśnić ich sobie".

Lilienfeld spostrzeżenie to Haeckla podnosi do znaczenia powszechnego prawa i, lubo odmawia naukowości metafizyce (I. 43), zapożycza z jej języka terminologii dla sformułowania tego prawa. Brzmi ono u niego po niemiecku: "Die dreifache Uebereinstimmung des Nach - Neben - und Uebereinander der Erscheinungen". Przetłumaczę to po polsku: „potrójna równoległość zjawisk, stopniujących się w czasie, przestrzeni i w każdym z osobna oddzielnym układzie." W Kosmologii już Aleksander Humboldt zauważał, że „genetyczny rozwój, nieustanne tworzenie się, którem, jak się zdaje, objęta jest pewna część przestworza niebios, myślącemu spostrzegaczowi nasuwa analogię zjawisk organicznych. Jak w lasach naszych widzimy ten sam rodzaj drzewa równocześnie na wszystkich stopniach rozwoju, i z tego widoku, z tego współistnienia odbieramy wrażenie postępowego rozwoju życia, tak w wielkim ogrodzie światowym poznajemy także najrozmaitsze studya powolnego tworzenia się gwiazd. Proces zgęszczenia, który był przedmiotem nauczania Anaksimenesa i całej jońskiej szkoły, zdaje się, jakoby się odbywał przed naszemi oczyma". Ten sam proces wszechświatowy, w którym z mgły światowej tworzyły się i tworzą słońca i planety, powtórzył się i w naszym słonecznym układzie. Wreszcie jeżeli weźmiemy tylko ziemię naszą, to w jej dziejach geologicznych i obecnym stanie geognostycznym odnajdziemy znowu cały ów proces zgęszczania się materyi.

Zwracając się ku nauce społeczeństw, spostrzegamy w ich rozwoju także rozmaite stopnie. Historya przedstawia nam te stopnie w kolejnem następstwie, etnologia w spółczesnem ich istnieniu. A nadto w dziejach i życiu obecnem każdego oddzielnego społeczeństwa powtarzają się one znowu. Tylor w „Historyi pierwotnej ludzkości" przytoczył liczne przykłady pozostałości (survivals) dawniejszych kulturnych epok w społeczeństwach dzisiejszych, stojących na wyższym stopniu cywilizacyi. Jako przykłady takich pozostałości Tylor uważa ordalie (pojedynek), ognie świętojańskie, pogrzeby włościan w Bretanii i t. d. Wiele dzisiejszych zabaw i bajek dziecinnych sięga czasów odległej starożytności, kiedy miały one realne w społeczeństwach znaczenie. Łuk i proca stanowi dzisiaj w Europie zabawę wiejskiej młodzieży, a były niegdyś w rękach naszych przodków morderczem narzędziem. „Nie rzadko — powiada Tylor, odwieczne idee i zwyczaje, które, jak się zdawało, już od dawna wymarły, nagle wypływają znowu na wierzch". Taką marą wskrzeszoną, podług niego, jest i dzisiejszy spirytyzm. Wreszcie przesądy, tak liczne wszędzie, nie sąż pozostałością pogańskich religijnych wierzeń? Lilienfeld nagromadza liczne przykłady potrójnej owej równoległości ze względu na używaną żywność, odzież, ekonomiczny ustrój, religię, obyczaje, prawo, społeczną organizacyę, czerpiąc je najwięcej z Waitza (Anthropologie der Naturvölker), lecz oprócz tego także z Peschela (Völkerkunde), Hellwalda, Darwina, Lubbocka, Tylora, Wattke'go (Der deutsche Volksglaube der Gegenwart), Daumera (Der Zukunftsidealismus der Vorwelt), Bastiana (Reisen im indischen Archipel), Twestena (Die religiösen, politischen und socialen Ideen der asiatischen Kulturvölker und der Aegypter) i z dwóch czasopism naukowych: „Zeitschrift für Ethnologie" i „Ausland".

Na dowód, że nawet w społeczeństwach, wysoko stojących w cywilizacyi, jak npd. w Anglii, znajdujemy jeszcze ślady pierwotnej dzikości, autor przytacza Carpentera i ustęp z dzieła Büchnera (Kraft und Stoff), w którem ten pisarz przypomina, że nawet same angielskie urzędowe sprawozdania mówią o milionach ludzi, którzy nie wiedzą, do jakiego wyznania lub sekty religijnej należą. „Co mi możesz powiedzieć o Chrystusie?" — zapytywał pewny kapłan jednego z uliczników. „Nigdy nie zdarzyło się mi słyszeć o tym gentlemanie", — odpowiedział zapytany.

Przykład ten ostatni przykre wzbudza uczucie i porusza w nas wątpliwość, ażali istotnie powszechnemu faktowi potrójnej równoległości zjawisk historycznych, statystycznych i osobnikowo biologicznych mamy nadać znaczenie powszechnego prawa w takiem pojmowaniu jego konieczności, jakie napotykamy u Lilienfelda. Potrójna równoległość jest faktem, faktem niezaprzeczonym, który przedstawia nam jeszcze jeden dowód, że w świecie społecznym rządzą te same prawa, co i w świecie przyrodniczym, albowiem pochodzenie jest ich wspólne i jednakowy sposób rozwoju. Atoli do wniosku pozostawania koniecznego stopni rozwojowych nie doprowadzają nas nauki przyrodnicze. „Włosiaste gwiazdecznice (Crinoideae) — powiada Spencer, które w peryodzie węgla kamiennego nader były liczne, teraz prawie zupełnie zniknęły i pozostał tylko jeden ich rodzaj. Niegdyś tak potężny rzęd mięczaków jak ramionowce (brachiopoda) dzisiaj ogromnie zubożał. Głowonogie (cephalopoda), posiadające skorupę, niegdyś panowały pomiędzy mieszkańcami morza nietylko pod względem liczby form, ale także i osobników; dzisiaj bliskie już są wygaśnięcia zupełnego". Poznikały przecież zupełnie takie formy, jak ichthyosaurus, plesiosaurus, pterodactylus. Małpa wzrostu ludzkiego, Dryopithecus, która zamieszkiwała w Europie podczas górnego mioceńskiego peryodu, nie pozostawiła po sobie potomków. Wiele form przechodowych zniknęło, które odnajdujemy dopiero dzisiaj w świecie kopalnianym. Tak przed dziewięciu dopiero laty w litograficznym sollenhofskim (w Bawaryi) łupku formacyi jurajskiej znaleziono formę przechodową od jaszczurów latających do ptaków, którą nazwano archaeopteryx lithographica. Wreszcie szczątkowe narządy w organizmie osobnikowym, przedstawiają raczej zachowany latopis dziejowy, aniżeli realną potrzebę organizmu w chwili obecnej. Migawka (trzecia powieka), mająca fizyologiczne znaczenie u ptaków, u ludzi pojawia się jako półksiężycowa fałda, szczątek zbyteczny w ustroju ludzkiego oka. *Uterus*, która jest tak czynnym organem w ciele kobiecem, u mężczyzny przedstawia się jako drobny pęcherzyk, vecienta prostatica, który ma wielkie znaczenie dla fizyologa, lecz żadnej korzyści nie przedstawia organizmowi. Są nawet szczątki, które nietylko są bezpożyteczne, ale stają się niekiedy szkodliwemi. Właśnie o robaczkowym wyrostku kiszki ślepej Darwin powiada, że „jest on nie tylko bezużytecznym narządem, ale nawet niekiedy staje się przyczyną śmierci, a to w ten sposób, że małe twarde ciała, dostawszy się do jego wnętrza, wywołują zapalenia".

Otóż takimi nietylko bezużytecznemi, ale nawet szkodliwemi zabytkami kultury pierwotnej są nędzarze umysłowi i materyalni w cywilizowanych społeczeństwach. Trzeba wszelkich sił dokładać, ażeby z świata obecnego przeszli do świata kopalnianego, historycznego. Dzisiejsze ich istnienie nie jest koniecznością. Schäfle przeżyte społeczne formy trafnie nazywa: pokonanemi, przezwyciężonemi kategoryami "Die ueberwundenen Kategorien". Otóż, przedewszystkiem warunki umysłowej i materyalnej dzikości pokonać należy.

Wracając do owej potrójnej równoległości zjawisk historycznych, statystycznych i osobnikowo-biologicznych, to aczkolwiek nie przedstawia ona, jak już powiedziałem, prawa takiej konieczności, o jakiej mniema Lilienfeld; musimy jednak przyznać, że w każdym razie dostarcza ona nowy dowód na poparcie tej tezy, że organizm społeczny jest organizmem realnym.

„Twierdzenie więc, możemy powtórzyć wraz z Lilienfeldem, jakoby dla ludzkości, zwłaszcza dla jej wyższych dążności i usposobień, istniały inne prawa, aniżeli przyrodnicze, inny związek, aniżeli przyrodniczy przyczynowy związek, należy do dogmatów nienaukowych, jest bałamuctwem, przedstawia wyrazy bez treści, zdania bez realnej podstawy. Wyobrażają one owe idola, które Bakon prawie już trzysta lat temu obalił w dziedzinie umiejętności przyrodniczej. Samo przez się rozumie, że trudniej zwalczyć te idola w dziedzinie nauki społecznej". (II, 111.)

„Bez własności nie możliwą jest żadna czynność wytwórcza w społeczeństwie, żaden ekonomiczny rozwój". Zgadzamy się z tem najzupełniej. Nie jest to jednak podług komunistów żaden zarzut przeciwko ich teoryom. Komuniści bowiem twierdzą, jakoby nie znosili własność. Twierdzą oni, że w społeczeństwach przedstawia się własność pod dwojaką formą: prywatnego i publicznego czyli wspólnego mienia. Indywidualiści dają przewagę pierwszej formie, komuniści drugiej. W tem leży, podług nich, cała różnica. Jak indywidualny porządek nie może istnieć bez publicznego mienia, tak i komunistyczny ustrój musi dopuszczać prywatną własność, lubo ją stara się ograniczyć. Komuniści na poparcie swego twierdzenia, że ustrój komunistyczny nie tamuje produkcyi, stawiają jako dowód stowarzyszenia komunistyczne w Ameryce. Jedno z podobnych stowarzyszeń rolniczych, North America Phalanx w stanie New-Jersey, opisał p. Wolski w dziełku swojem: „Do Ameryki i w Ameryce". (Lwów, 1876). „W dziesięć lat, powiada, wartość tej kolonii rolniczej, należącej do wszystkich współpracowników, wynosiła 250000 dolarów, a przytem oddano już pierwotnym założycielom owe 100000 dolarów, obrócone w początku na zakupienie ziemi i wystawienie najpotrzebniejszych budynków. Czyli stowarzyszeni zyskali 350000 dolarów i przez ten cały czas wszyscy jego członkowie utrzymanie z wszelkiemi tam wygodami znaleźli". (Str. 123).

Wogóle Lilienfeld nie jest zbyt wielkim zwolennikiem zasady równości. Podług jego przekonania, sama przyroda jest temu przeciwna. „Pódporządkowanie jednych komórek, powiada, i osobników komórkowych drugim, co jest warunkiem jedności całego organizmu, stanowi *zasadę hierarchii, nierówności, zależności niższych od wyższych*, zasadę, która jest warunkiem rozwoju, tak ustroju osobnikowego jak i społeczeństwa ludzkiego". (II, 7). Znajdujemy na to odpowiedź u dwóch pisarzy XVIII stulecia, Morelly'ego i Staszica. Morelly, zwróciwszy na to uwagę, że zależność wzajemna organów w ciele a członków w społeczeństwie przyczynia się do zachowania organizmu, dobrobytu i wolności, dalej powiada: „ludzie rodzą się we wzajemnej zależności, która czyni to, że po kolei *rozkazują* i *służą* t. j. *otrzymują pomoc i pomagają;* lecz stosownie do tego znaczenia i do prawdziwego prawa przyrody, nie ma i nie powinno być ani *pana*, ani *niewolnika*". (Code de la nature, 1755; str. 98). Staszic, znowu jakby przewidując teoryę Darwina i wnioski przez niektórych z niej czynione dla stosunków społecznych, powiada: „Nierówność rzeczy przyrodzonych zamięszanie sprawuje. Z zamięszania rodzi się równoważność, porządek i spokój. Nierówność ludzi naturalna musiała w stanie natury sprawiać kłótnie, napaści i bitwy. Przy pasowaniu się słabszego z mocniejszym kupiły się gromady, robiły się strony i społeczności. *Końcem towarzyszenia się ludzi była przyrodniczej nierówności poprawa.* Więc skutkiem dobrze ułożonego towarzystwa, być powinna obywatelska równość, wolność i pokój". (Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego. Wydanie Turowskiego, Kraków, 1861; str. 36 i 37).

Zbyt niewolniczo oglądać się na przyrodę, nie wypada. Zmienne są jej formy, i odmiennie je tłumaczyć można. Pomiędzy cechami, wskazującemi na postępowy rozwój, wybieramy główne, a głównemi są te, które zapewniają całości jak największą harmonię. W ekonomicznym ustroju takiemi cechami nie są: ani powiększony wytwór, ani bardziej urozmaicony podział pracy, lecz zadowolenie wszystkich, a przynajmniej bardzo znacznej większości, ze swego położenia. Jeżeli ze wzrostem wytworu wzmaga się i nędza, ażali można uważać takie społeczeństwo za doskonałe? Wallace, mówiąc o ustroju ekonomicznym dzikich południowo - amerykańskich ludów, słusznie

zapytuje: „czy może być nazwany wyższym taki ustrój, jak np. angielski, w którym dwudziestą część ludności zamykają w domach roboczych, a trzydziestą część odsyłają do sądu i karzą?“ Jeżeliby podział pracy—powiada znowu Perły (Die Natur im Lichte philosophischer Anschauung) miał stanowić najwyższe kryteryum, w takim razie polipy kwiateczkowate i meszkowate mogłyby być uważane za najwyższe zwierzęce twory, ponieważ podział w nich pracy idzie jak najdalej.“

Książka Lilienfelda wskazuje w każdym razie myśliciela, wielostronnie wykształconego. Wiele czytał, ale wiele i pomyślał. Pomimo skłonności metafizycznych, które nieraz objawia w swem dziele, idzie za duchem czasu i staje w swych badaniach społecznych na gruncie realnym. Broni gorliwie religii i nauki chrześciańskiej, ale w tej obronie schodzi na grunt metafizyczny.

Bolesław Limanowski.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 21. marca.

Od dawna nie pamiętamy we Lwowie takiego roznamiętnienia przy wyborach jak obecnie. Nie można powiedzieć, aby cała ludność przyjmowała w tem udział, owszem masy są zupełnie obojętne i do urny wyborczej zgłasza się zaledwo 2 tysiące osób, reszta nie korzysta z prawa wyborczego, bo dla niej to zupełnie obojętne, czy Piotr, czy Kalasanty pojedzie do Wiednia, a nawet nic ją nie obchodzi, czy wogóle kto pojedzie albo nie. Apatya ta ma swoje źródło głównie w ciemnocie mas, które nic nie czytają i nic nie wiedzą, co się na świecie dzieje. Nie znalazł się bowiem nikt, ktoby pomyślał o wydawaniu pisma dla ludu miejskiego, jak nie ma pisma dla niższych umysłowo warstw wiejskich. Jest to otwarte pole pozostawione odłogiem, na które pierwej czy później wkroczą socyaliści i jezuici. Rzecz jednak godna podziwu, że wobec częstych walk wyborczych, obie strony ścierają się na słowa, a żadna nie przedsięweźmie trudnej zapewne, ale dającej rękojmie zwycięztwa, wycieczki do mass ludowych i nie zada sobie pracy sprowadzenia tłumów do urny wyborczej. To się tylko tem daje wytłumaczyć, że dotychczas przy wyborach występowała głównie kwestya osób, nie było więc możności pociągnięcia tłumów, chyba pieniędzmi. Ale tak dalece nikt nie zapalał się do osób, ażeby miał aż znaczne sumy łożyć na przeprowadzenie swoich kandydatów.

Przy obecnych wyborach kwestya osób zeszła na drugi plan, na pierwsze miejsce wystąpiły zasady i to głównie roznamiętniło publiczność. Wprawdzie kandydaci są tak niefortunnie dobrani, że sami nie wzbudzają sympatyi, owszem antypatyę, jeżeli wolno tak się wyrazić. Stronnictwo... trudno wyszukać odpowiedniej nazwy, stronnictwo mniejszości w delegacyi, będące za poruszeniem sprawy polskiej w Wiedniu postawiło kandydaturę Artura Gołuchowskiego, używającego najlepszej opinii i dobrego patryotę, ale mało znanego, i który nigdy nie zamanifestował zdolności politycznych. Ażeby na takiego kandydata głosować, przywiązując do obecnych wyborów wielką wagę, potrzeba być człowiekiem wyrobionych opinii politycznych, przywykłym do karności, umiejącym odłożyć na stronę swoje sympatye, umiejącym spełnić obowiązki szeregowca. Gdyby Lwowianie byli wykształceni politycznie wybór Gołuchowskiego byłby zapewniony prawie jednomyślnie. Ale po drugiej stronie postawiono kandydaturę Franciszka Smolki, najsympatyczniejszej osobistości w kraju, jakże więc oprzeć się pokusie, aby nie głosować na niego? Wprawdzie stawia go stronnictwo milczenia o sprawie polskiej w Radzie państwa, stawiają go ludzie, którzy z nim walczyli całe życie, a stawiają go właśnie dla tego, że tylko stawiając kandydaturę najpopularniejszą w kraju mogą mieć szanse przeprowadzenia kandydata chwilowo odpowiadającego ich zapatrywaniom. Ani jedni, ani drudzy w zwykłych warunkach nie głosowaliby na postawionych przez się obecnie kandydatów. To też do ostatniej chwili nie można nic przesądzać o wyborze. Ponieważ ogromna większość głosować będzie bez należytego zrozumienia rzeczy, przeto wybór może być bardzo nietrafny.

„Dziennik Polski“ zamieścił nadzwyczaj bałamutny program Fr. Smolki, a weteran parlamentarny wcale go nie sprostował, więc wyborcy zgoła nie wiedzą, czy Fr. Smolka podziela ten program, czy nie. Oczywiście jesteśmy zdania, że go nie podziela, bo ludzie tego zakroju, co Smolka nie zmieniają swoich zasad przy lada powiewie wiatru. Smolka wierzy w przyszłość Austryi opartej na systemie federacyjnym, w tym tylko systemie widzi połączenie sprawy polskiej z austryacką, w tym systemie widzi przyszłość dla Polski. System centralistyczny, panujący dzisiaj w Austryi, jest według przekonań Smolki zgubny dla Austryi i niedostępny do łączenia z nim sprawy polskiej. Wojna podjęta przez Austryę centralistyczną musi być zgubną dla niej. A więc Smolka uważa, że w dzisiejszych stosunkach Austrya nie powinna wdawać się w wojnę, i że w dzisiejszych stosunkach Polacy tylko nadaremnie trudziliby się, podnosząc w Wiedniu sprawę polską. Wyborcy lwowscy (mówimy o większości) są wręcz przeciwnego zdania, które wypowiedzieli w swoim programie grudniowym Czyż mogą wybierać Smolkę?

Za nim numer wyjdzie z pod prasy, będziemy już wiedzieli o rezultacie wyboru.

Gdy Lwów tak gorąco oddany wyborom, Warszawa zajmuje się niemniej żywo zupełnie innego rodzaju przedmiotem. Włodzimierz Spasowicz miał dwa odczyty o Wincentym Polu i wywołał ogromny rumor w prasie warszawskiej, która stanęła po stronie Pola skrytykowanego przez uczonego prelegenta, a odgłos tego niezadowolenia prasy warszawskiej znajdujemy w „Dzienniku Polskim“, który nie potrafił wstrzymać się ze swoim sądem aż prelekcye będą wydrukowane i przystępne do poznania dla nas, ale wystąpił z oburzeniem przeciw Spasowiczowi, nie mając żadnych podstaw do wyrażenia sądu na niekorzyść prelegenta. O prelekcyach tych, jak i o dawniejszych o Władysławie Syrokomli podamy wyczerpujące sprawozdanie w swoim czasie. Tu tylko zamieszczamy kilka słów o Włodzimierzu Spasowiczu prawie zupełnie u nas nieznanym.

Włodzimierz Spasowicz urodzony w Rzeczycy nad Dnieprem, w województwie mińskiem, na Litwie w r. 1829. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich pracował pierwotnie nad dziejami polskimi, ale żadnej pracy w tym kierunku drukiem nie ogłosił, z wyjątkiem przekładu z łacińskiego dawnych historyków polskich, Rudawskiego i Orzelskiego, objaśnionych pracowitemi notami. Następnie zwrócił się na pole prawne, wydał kilka dzieł znakomitych w przedmiocie prawa kryminalnego i został powołany na profesora uniwersytetu petersburgskiego, gdzie zaraz zwrócił na siebie ogólną uwagę, a tysiączne tłumy zbiegały się na jego prelekcye. Równocześnie pracował z Ohryzką i Żeligowskim na polu wydawniczem w Petersburgu, przyjmował czynny udział w redakcyi *Słowa* (tego najlepszego z pism politycznych polskich), gdzie między innemi zamieścił znakomitą rozprawę *O literaturze rosyjskiej.* Pod jego przeważnie redakcyą wyszło nowe 10 tomowe wydanie *Voluminów legum.* Po powstaniu, przy zaprowadzeniu w Rosyi adwokatury, został adwokatem i zyskał od razu sławę najznakomitszego adwokata w Rosyi. Szczególniej sławną była jego obrona głośnego spisku moskiewskiego. Literackie i naukowe prace swoje ogłasza przeważnie w języku rosyjskim. Do bliżej nas obchodzących zaliczyć należy *Historyę literatury polskiej,* która uważaną jest za najlepszy rys historyi literatury polskiej. W polskim języku wydał: *O tak zwanej własności literackiej* i znakomite studyum o *Władysławie Syrokomli.* Spasowicz jest założycielem poważnego organu *Atheneum,* które swojemi pracami zasila. Trudnoby zaprawdę znaleźć osobistość czystszą, więcej czynną, a co nadaje jednemu i drugiemu przymiotowi wagę, to umysł bystry, nauka głęboka, wykształcenie wszechstronne, odwaga w wypowiadaniu zasad postępowych.

Pojmujemy, że dla umysłów pospolitych, dla wielkości urojonych wizyta Spasowicza w Warszawie nie była najmilszą, pojmujemy, że ci, ktorzy klaskali w r. z., gdy Stanisław Tarnowski kopał nogami Pola i pisali mu panegiryki, obecnie są niezadowoleni ze Spasowicza, chociaż ten niewątpliwie mniej brutalnie postąpił sobie z Polem, ale sięgnął do głębi i nie frazesami walczył, ale umiejętną krytyką rozebrał jego dzieła, nie schlebiał gustom i guścikom, ale całą prawdę odsłonił. A Warszawa, tak przyzwyczajona do kadzidła, nie mogła znieść sumiennej a racyonalnej krytyki. Mówimy o dziennikarstwie warszawskiem, gdyż publiczność na dwa miesiące przed odczytami rozkupiła już wszystkie bilety, tłumnie zalegała salę i frenetycznemi oklaskami przyjmowała słowa prelegenta. Oklaski te prasa warszawska kładzie na karb ogólnej czci dla prelegenta, nie zaś dla treści samych odczytów.

* * *

Od kilku dni krążą po mieście, a nawet wdarły się już do dzienników przerażające wieści o morderstwach niby popełnianych na obłąkanych w Zakładzie Kulparkowskim, z powodu zaniedbanego dozoru. Wstrzymujemy się z wyrokowaniem w tej sprawie, dopóki prowadzone śledztwo sądowe rzeczywistej winy nie orzecze. Przedwczesne rozgłaszanie tego rodzaju oskarżeń, zwłaszcza o instytucyi, gdzie setki się mieszczą chorych nieszczęśliwych, rzuca tylko niepotrzebną panikę na rodziny, mające tam ulokowanych krewnych lub przyjaciół, naraża się na niepotrzebne koszta odbierania pacyentów, gdy rzeczywiście odbyta wizya sądowo-lekarska przyczynę śmierci p. Keisa wcale nie w pobiciu jego i złamaniu żebra odkryła... Chcąc rzucić na kogo kamieniem, potrzeba wprzód dobrze ten kamień obejrzyć, aby nie zadać nim rany.

TEATR.

(„Dziady“ Moniuszki. Występy panny Ehnn. — „Krwawe piętno,“ tragedya Leopolda hr. Starzeńskiego w 3 aktach.)

Najciekawszym wypadkiem teatralnym z ubiegłych dni dziesięciu było bezwątpienia przedstawienie

„Dziadów.“ Niech tam sobie co chcą mówią muzycy z profesyi, dla profanów „Dziady“ będą najoryginalniejszą i najpotężniejszą z większych kompozycyi Moniuszki. Dużo ma rzewnych melodyi Halka, dużo ich jest, i może szczęśliwiej skojarzone z librettem, w „Strasznym Dworze,“ ale takiej siły, oryginalności i grozy, jaką tętnią chóry w Dziadach: „A kto prośby nie posłucha,“ lub jeszcze bardziej „Nie znałeś litości, panie!“ nie ma w żadnej operze naszego litewskiego mistrza. Jeżeli i w duecie z pasterką melodya bardzo żywo przypomina włoskie motywa, to można być prawie pewnym, że kompozytorowi chodziło właśnie o to podobieństwo: ponieważ pasterka Mickiewicza ród swój wyprowadza z włoskiej sielanki, więc i muzyka dobrana do tej postaci powinna była wskazywać na to pochodzenie.

Dekoracya potężnie posiłkowała muzykę. Prawdziwie czarodziejskie wrażenie sprawiał cmętarz oblany światłem księżyca. Scena z widmem pasterki nie wywarła należytego wrażenia z powodu złej deklamacyi pani Skalskiej, za co już dostateczną dostała naganę od innych dzienników. Bądź co bądź, pani Skalska ma głos niewielki, ale przyjemny, powierzchowność ujmującą i gdyby trochę więcej gracyi w stroju i w ruchach, byłaby zupełnie odpowiednią pasterką. Filarem, trzymającym na sobie całe przedstawienie Dziadów, był p. Köbler; wywiązał się on należycie ze swego zadania.

Część druga Dziadów, będąca tylko niejako wstępem do dalszych części tego zbiorowego poematu, nie ma wyraźnego zakończenia, i dla tego tu i owdzie spotykaliśmy się z życzeniem, aby w dalszym ciągu wprowadzono na scenę i czwartą część Dziadów, ze stosownym naturalnie układem. Myśl ta o tyle wydaje się praktyczną, że Dziady Moniuszki nie zdołają zapełnić całego wieczoru; o ile jednak czwarta część Dziadów byłaby dobrą na scenę? nie umiem powiedzieć. Zdaje mi się tylko, że gdyby myśl tę dyrekcya podjęła, to należałoby dla uzupełnienia dać i niektóre ustępy z trzeciej części, a przynajmniej wstęp do tej części, w którym Gustaw przeradza się w Konrada.

Co się tyczy widma Gustawa przy końcu drugiej części Dziadów, to był to szkopuł, którego reżyserya nie przezwyciężyła dostatecznie. Lepiejby było, żebyśmy nie widzieli butów i fioletowych spodni Gustawa; niechby to było wszystko zostało za trumną, to jest niechby się był Gustaw tak wysunął z kaplicy, żebyśmy tylko biust jego mogli oglądać. Twarz Gustawa była dobrą, tylko figura jego zanadto przypominała małego chłopaczka.

Obok przedstawienia Dziadów mamy do zanotowania występy panny Ehnn, słynnej śpiewaczki wiedeńskiej, która według powszechnego przekonania ma zajmować trzecie miejsce w słowiczej hierarchii europejskiej (po Patti i Nilson). Czy jest trzecią, czy czwartą, nie mógłbym przysiądz, ale to pewna, że jest jedną z najlepszych, jakie lwowska scena oglądała. Głos jej silny, pełny, sympatyczny, nie olśniewa wprawdzie odrazu, ale za to w miejscach trudniejszych objawia się nam cała jego potęga, łatwość i swoboda. Jest panna Ehnn przytem bardzo dobrą artystką dramatyczną i w scenie pod kościołem nie tylko śpiewem, ale i grą swoją sprawiała wielkie wrażenie. Ta scena przypomina mi naszego Mefista-Włocha, którego reżyserya powinnaby już raz poskromić w gimnastycznych zapędach i popisach. Szczególnie w scenie z krzyżem jest on tak nieznośnym z powodu swego wykręcania się i gestykulowania, że psuje całe wrażenie tego wzniosłego ustępu.

Z nowości dramatycznych dano w ostatnich dniach „Krwawe piętno.“ trzy-aktową tragedyę hr. Leopolda Starzyńskiego. Utwór ten ma zalety właściwe talentowi pana Starzyńskiego, mianowicie piękną dykcyę i szczery, niepodrabiany duch patryotyczny, przewiewający w całej sztuce. Do tego należy dodać, że budowa sztuki z początku i aż do końca drugiego aktu wcale porządnie jest prowadzoną i że drugi akt posiada bardzo efektowne sceny. Ale w trzecim akcie wszystko się psuje. To nieustanne przerzucanie się Samuela Gnoińskiego z jednej strony na drugą, ze złej na dobrą i odwrotnie, zaczyna nas nudzić; przekonywamy się, że w tym człowieku, jak go autor przedstawił, nie ma materyału na bohatera tragedyi. Gdyby naprzeciw niego stał jakiś drugi dodatni bohater, obdarzony należytą siłą charakteru, to ta wichrowatość Samuela nie tak by nużyła i miałaby większą racyę bytu w tragedyi. Ale takiego bohatera nie ma, bo młody Czarniecki za mało się pokazuje i działa w sztuce, aby mu się ten tytuł należał. Najgorszy jest koniec tragedyi, bo zabawny. Matka, uprzedzając nową zdradę syna, który chce wywiesić chorągiew szwedzką na murach, każe doń strzelić staremu słudze. Strzał pada i trafia w pierś Samuela, który jednak dość ma jeszcze sił potem, aby o własnych siłach zejść z murów do zamku, podziękować matce, że kazała do niego strzelić, wziąć polską chorągiew, zamiast szwedzkiej, wynieść ją na mury (wciąż o własnych siłach) i tam dopiero zatknąwszy ją, umrzeć.

Przeciw bohaterstwu matki nic nie mam, skoro autor chciał w niej uosobić najwyższy stopień patryotycznego poświęcenia, ale niechżeby syn, trafiony kulą, padł sobie na murach i nie pokazywał się więcej, niechby już matka, która właściwie powinna być główną osobą, główną bohaterką sztuki, sama własnemi rękami zatknęła sztandar polski na murach. To nawrócenie się nagłe Samuela przed śmiercią jest nietylko zbyteczne, ale nieprzyjemne, bo widz poznawszy Samuela, czuje, że wyleczyć go tylko ze śmiertelnej rany, a będzie on broił po dawnemu.

Rolę Samuela z wielkim ogniem odegrał pan Ładnowski. Matką była pani Aszpergerowa.

J. T.

Wiadomości z kraju i ze świata.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

Na *Złote myśli* przedpłacili:

30. Wny Semenowicz we Lwowie.
31. Wny ks. Jakób Filar w Wołoszczy.
32. Wny Rafał Dajewski w Borkach wielkich.

*** W kwestyi wydawnictwa jubileuszowego. Czytamy w *Tygodniku Illustrowanym*, iż w zeszłą środę osoby delegowane do kontrolowania wydawnictwa jubileuszowego „Wyboru dzieł J. I. Kraszewskiego,“ zebrały się w liczbie pięciu, w mieszkaniu wydawcy i po dokładnem przejrzeniu rachunków do dnia 1. marca rb. znalazły stan ich następujący:

Egzemplarzy dotychczas sprzedano 5.070, za które wpłynęło rs. 8.595 kop. 21. Wydatki na prospekty, druk, papier i satynowanie pierwszego tomu wyniosły rs. 2.219 kop. $74^1/_2$; portret i korekta kosztowały rs. 148 kop. 98; porto rs. 537 kop. 8; razem rs. 2.905 kop. $80^1/_2$. Pozostała przewyżka rs. 5.689 kop. $40^1/_2$, po jej zaokrągleniu do rs. 5.700, wniesioną została tymczasowo na procent do jednej z instytucyi finansowych warszawskich, jako fundusz wydawnictwa jubileuszowego.

Fundusz ten, po wyjściu każdego z dalszych tomów, powiększany będzie napływającemi sumami, może zaś być podniesionym całkowicie lub częściowo tylko za wypowiedzeniem, podpisanem przez trzech członków kontrolujących i wydawcę.

Przytem kronikarz *Tygodnika* objaśnia, iż dochód powyżej wymieniony byłby o wiele znaczniejszy, gdyby nie ta okoliczność, że prenumeratorowie wnoszą przedpłatę przeważnie częściowo, i że księgarze, według przyjętego zwyczaju, należność za tom Iszy uiszczą dopiero po otrzymaniu tomu drugiego.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Metoda uczenia języków obcych*, szczególnie łacińskiego, w szkołach średnich, skreślił Stanisław Sobieski, dyrektor gimnazyum w Rzeszowie, opuściła prasę nakładem autora w Rzeszowie.

*** Wyszły w nowem wydaniu *Listy z Peruwii i Boliwii* Władysława Klugera. Nowe wydanie pomnożone jest nowymi listami.

*** *Dwutygodnika naukowego* opuścił prasę zeszyt 6.

*** W Warszawie rozpoczęto wydawnictwo zeszytami: *Wspomnienie z wojny* w Hiszpanii i Rossyi w r. 1808—1812 generała Henryka Brandta. Właśnie wyszedł z pod prasy zeszyt I.

*** Nowy numer *Horapa* zawiera nową rycinę charakterystyczną „Pochód na kongres.“ Książątka rumuński, serbski, czarnogórski niosą trumnę ze zwłokami państwa tureckiego. Bismark czytający psalmy z kropidłem w komży, poprzedza pochód. Towarzyszą mu grabarze z łopatami Gorczaków i Ignatiew z tyłu idzie Europa, Anglia (płacząca) i Austrya z gromnicami, dalej reszta przedstawicieli Europy. Car idzie na przodzie wzrokiem i nahajem napędzający Europę do pochodu.

*** Edward Lubowski w tych dniach złożył dyrekcyi teatrów cztero aktową krotochwilę, oryginalnie napisaną, pt. „Czarokwit.“

*** Fotografujący telegraf. Londyńskie czasopismo poświęcone fotografii, opisuje szczegółowo nowowynaleziony sposób, za pomocą którego można odbicia fotograficzne telegrafem posyłać na wszelkie odległości. Sposób ten polega na tej samej zasadzie fizykalnej, co telegraf kopiujący każde pismo, wynalazku Bonellego i Hippa. Odbicia fotograficzne, trzymane za pomocą nowego wynalazku, dotąd jeszcze nie zupełnie zadowalają, ponieważ rysunek na nich oddany jest w grubych liniach, specyaliści jednak pracują ciągle nad udoskonaleniem fotografii.

*** W Paryżu podczas wystawy powszechnej ma się odbyć literacki kongres międzynarodowy. Otrzymaliśmy od paryskiego towarzystwa literatów zawiadomienie o tym kongresie. Brzmi ono jak następuje:

„Komitet towarzystwa literatów zawiadamia, że podczas wystawy powszechnej odbędzie się w Paryżu literacki kongres międzynarodowy. Kongres ten, na który otrzymają zaproszenia wszyscy pisarze zagraniczni, będzie miał głównie na celu rozprawy o prawie literackiej własności międzynarodowej i starać się będzie o wynalezienie sposobów uznania tego prawa, które na drodze dyplomatycznej nie mogło jeszcze dotychczas uzyskać należnego zatwierdzenia...“

Francuzi tak dalece posuwają prawo własności literackiej, że chcieliby je rozciągnąć na całe wieki do nieskończoności. Gdyby się im udało na kongresie wpoić swoje zapatrywania w Europę, ceny książek poszłyby w górę, a księgarze, zwłaszcza bogatsi, robiliby odtąd najświetniejsze interesa. To też sądzimy, że raczej Francuzi nawróceni zostaną.

Nekrologia.

† Młoda poetka, Marya Kamińska, pisująca pod pseudonimem Maryi Elżbiety, rozstała się z tym światem w 20tym roku życia. Nie zdarzyło się nam czytać w żadnem z tutejszych pism jej prac, gdyż młody talent zaledwo poczynał kiełkować. Pierwsze jej prace pochłonęły pisma warszawskie. Poetka przeczuła zbliżającą się śmierć w następnych zwrotkach swoich piosenek:

Cudna nocy wiosenna! odchyl czarną zasłonę
I na niebios sklepieniu gwiazdy zgaś niezliczone!
Niech od wichru złamany
Kwiat zdobiący kurhany
Nie umiera w przedświtu godzinie!

* * *

Niezadługo po trudach odpocznę
W wieczystym śnie...
Miękką szatą ziemia mnie utuli,
Białych lilii zakwitną kielichy
U moich stóp,
A ci których kochałam najczulej,
Może przyjdą na samotny, cichy,
Dziewicy grób...

† Zmarł człowiek, który w niedawnej epoce w piśmiennictwie polskiem dość wybitne zajmował stanowisko, a od kilku lat rażony ciężką niemocą, żył w zupełnem zapomnieniu i bogdaj w niemożności zaspokojenia pierwszych potrzeb do życia.

Mówimy tu o Leonie Rogalskim.

Ś. p. Leon był jednym z rzadkich już u nas dziś wychowańców uniwersytetu wileńskiego. Przez pewien czas pełnił on nawet obowiązki sekretarza tego uniwersytetu i wybrany był do wykładu pedagogiki. Przeniósłszy się do Warszawy, Leon Rogalski zajął się głównie pracami literackiemi.

Przeszedł czas, kiedy przekłady dokonywane przez niego, uważane były za arcywzór prac tego rodzaju.

Wydawcy u nas opłacali je bezprzykładną w owych czasach ceną.

Oprócz jednak przekładów, które prawie na dziesiątki tomów liczyć trzeba, Leon Rogalski wydał także niemało dzieł oryginalnych.

Są to jednak po większej części streszczenia i kompilacye.

Do tych głównie należą: „Wizerunki naukowe“ - „Dzieje Krzyżaków“ — „Dzieje Jana III. Sobieskiego“ — „Dzieje księstw naddunajskich“ — „Dzieje Polski opowiadane w krótkości“ i nareszcie „Rys historyi literatury polskiej“.

Rogalski wydawał mnóstwo rzeczy religijnej treści, współpracował do wszystkich prawie czasopism codziennych i tygodniowych w Warszawie wychodzących i oprócz prac większych rozmiarów, pisał mnóstwo drobnych artykułów o kwestyach bieżących, które zebrane w jedno, w ogromną urosłyby całość.

Zmarły był człowiekiem żelaznej pracy i niepośledniej nawet wiedzy, pośpiech jednak w tworzeniu ciągłem, nie dozwalał mu ani wyczerpywać kwestyj, jakie sobie za cel pisania postawił, ani opracowywać pism swoich tak, iżby mogły posiadać głęboką i trwałą wartość.

W każdym razie, w czasach posuchy literackiej, w których on głównie zasilał piśmiennictwo swojemi utworami, był on jedną z najwydatniejszych postaci i zasługuje na uznanie i dobrą wzmiankę w piśmiennictwie.

Pokój jego duszy!

ROZMAITOŚCI.

*** Eliksir piękności. Przed sądem londyńskim zaczął się niedawno proces przeciw oszustce nazwiskiem Rachel, która raz już była karana pięcioletniem ciężkiem więzieniem za sprzedawanie różnych szkodliwych zdrowiu preparatów jako „eliksir piękności.“ Więzienie nie odstraszyło oszustki od prowadzenia dalej haniebnego rzemiosła, aż oto nowe ofiary jej praktyk wystąpiły znów przed sądem ze skargą. Niejaka pani Prarce dała się uwieść namowom szalbierki i w całym zysku za 5.000 franków, które jej zapłaciła, ma szpecące twarz plamy, taki bowiem skutek wywarła „emalia,“ którą oszustka kazała klientce smarować twarz i szyję. Do procesu wmięszana jest także słynna w całej Anglii z urody, młoda księżna Dudley, oszustka bowiem twierdzi, że jej to zawdzięcza księżna swe wdzięki, że jest na jej sposób „emaliowaną“ — utrzymuje nawet, że w nagrodę za oddane księżnej przysługi otrzymała garnitur brylantowy, ten sam, który jakoby skradziony został w roku zeszłym na dworcu w Londynie. Sprawdzono jednak, że wszystko to kłamstwo.

*** Ile zarobić może śpiewaczka? Na to pytanie dają odpowiedź dzienniki włoskie, donosząc, że Adelina Patti, która od listopada do lutego, a więc przez niespełna cztery miesiące gościła na różnych scenach włoskich, pobrała za 42 występy sumę 422,000 franków w złocie.

WIATR I POCIĄGI KOLEI ŻELAZNYCH.

Od kilku już lat napotykamy w *Czasie* krakowskim w pewnych epokach stereotypowy, jak się zdaje artykuł, donoszący, że pociąg lwowski spóźnił się z przybyciem do Krakowa o pewien przeciąg czasu, a jednocześnie pociąg idący z Krakowa do Lwowa także uległ pewnemu opóźnieniu, dyrekcya zaś kolei za przyczynę obu tych opóźnień podaje wiatr. Jak to być może? — zapytuje kronikarz krakowskiego dziennika — wszakże wiatr wieje w jedną stronę, więc jeżeli jeden pociąg opóźnia to powinien przyspieszać drugi, idący w odwrotnym kierunku, a tymczasem nigdy nie słyszeliśmy, żeby wiatr jakikolwiek pociąg przyspieszył, ale nawet dowiadujemy się, że opóźnił pociągi idące w dwie przeciwne strony.

Ciekawość *Czasu* jest tu zupełnie usprawiedliwiona, bo rzeczywiście zjawisko to na pierwszy rzut oka trochę dziwnie wygląda, spodziewaliśmy się zatem, że je kto ze specyalistów, a mianowicie techników kolejowych wyjaśni, gdy jednak panowie technicy nie zwrócili widać uwagi na interpelacyę krakowskiego pisma, niechże nam wolno będzie wyjaśnić ten na pozór niezrozumiały objaw na podstawie ogólnej znajomości praw mechaniki, nie tyle dla tego, żeby organ podwawelski uwolnić od udręczeń niezaspokojonej ciekawości, jak raczej z tego względu, że i niejeden z czytelników tego pisma, nie zastanowiwszy się bliżej nad tym fenomenem, mógłby przypuszczać albo, że dyrekcya kolei fałszywie opóźnianie się pociągów tłómaczy, albo, że wiatry wiejące pomiędzy Lwowem i Krakowem mają wyjątkowo jakieś nadprzyrodzone własności.

Otóż przedewszystkiem musimy zwrócić uwagę na to, że gdyby pociągi kolei żelaznych, miały do walczenia z wiatrem wiejącym w kierunku wprost przeciwnym ich ruchowi, wiatr taki, nawet przy dosyć znacznem natężeniu, jeszczeby nie mógł stanowić zasługującej na uwagę przeszkody w ich biegu. Pociąg zostający w ruchu musi w każdym razie, choćby nie było żadnego wiatru, usuwać z szybkością swego posuwania się naprzód kolumnę powietrza, która ma za podstawę przekrój poprzeczny największego co do wysokości i szerokości wagonu, jeżeliby zatem szedł pod wiatr przeciw niemu wiejący to miałby nadto do zwalczenia tylko przewyżkę parcia, powstającą wskutek szybszego napływu powietrza i opóźniłby się tylko o tyle, ileby spotrzebował siły na zwalczenie tej przewyżki, więc w każdym razie z wyjątkiem chyba nadzwyczaj silnych i długotrwałych wichrów, o niewiele, a nawzajem pociąg idący w kierunku wiatru, byłby popychany w taki sam sposób przez parcie szybciej napływającego powietrza (lub co na jedno wychodzi, potrzebowałby mniej siły na usuwanie kolumny powietrznej, która przed nim własnym ruchem ustępuje) i przybywałby na miejsce prędzej niż powinien, lecz przyspieszenie również mogłoby być tylko nieznaczne.

Nie należy jednak zapominać, że oprócz wiatrów wschodnich i zachodnich istnieją także wiatry wiejące w innym kierunku, naprzykład północne i południowe, że już żeglarze w swojej krzyzownicy wiatrów (rose des vents) rozróżniają trzydzieści dwa odmienne kierunki wiatru, a matematycznie rzecz biorąc, może być tych kierunków nieskończenie wiele. Przypuśćmy zatem, że wiatr wieje prostopadle na pociąg zostający w biegu i zastanówmy się co będzie w takim razie. Oto pociąg kolei będzie miał jak zawsze do usunięcia taką jak w poprzednim przykładzie kolumnę powietrza, mającą za podstawę jego przekrój poprzeczny, ale nadto party będzie z boku przez napływającą z całą szybkością wiatru kolumnę powietrza mającą za podstawę jego przekrój podłużny. Ponieważ przekrój podłużny pociągu jest zazwyczaj kilkadziesiąt razy większy od przekroju poprzecznego, parcie to zatem będzie o tyleż razy większe, niżby było parcie takiego samego wiatru, wiejącego w kierunku linii wagonów, na pociąg zostający w spokoju. Całem tem parciem, całą tą siłą pociąg, bez względu na to w którą stronę się porusza, będzie niejako spychany z jednej szyny a pchany na drugą. Najelementarniejsza znajomość praw mechanicznych wystarcza do zrozumienia, że bezpośrednim skutkiem takiego działania wiatru będzie znaczne zwiększenie najważniejszej z przeszkód wszelkiego ruchu, to jest tarcia zarówno kół o szyny jak wagonów o opietrze i że skutkiem tego pociąg doznać musi znacznego opóźnienia, czy będzie szedł w prawo czy w lewo, czy z Krakowa do Lwowa, czy ze Lwowa do Krakowa.

Tak się ta rzecz przedstawia w czystej teoryi i to już dostatecznie okazuje, że jeden i ten sam wiatr opóźniać może dwa pociągi kolei idące w strony przeciwne.

W praktyce musi się to przedstawiać jeszcze wyraźniej, tam bowiem trzeba brać na uwagę wiele innych okoliczności, które w powyższym wywodzie pominęliśmy.

Przedewszystkiem, patrząc na nasze zagadnienie nie z wyłącznie teoretycznego, ale z praktycznego stanowiska, należy zauważyć, że wiatr wiejący w kierunku dokładnie tym samym, w którym idzie pociąg, lub też w kierunku dokładnie przeciwnym jest prawie absolutnie niemożebnym, tak bowiem kierunek wiatru w cokolwiek dłuższym przeciągu czasu, podlega zmianom, jak również linje kolei żelaznych (z wyjątkiem podobno jednej kolei petersbursko-moskiewskiej) nie idą nigdy w kierunku linii prostej, czyli właściwie w kierunku łuku kuli ziemskiej, lecz podlegają najrozmaitszym zwrotom. Z tego powodu wiatr może tylko chwilowo wiać w kierunku pociągu, lub też w kierunku wprost przeciwnym, w ogóle zaś przez cały czas znajdowania się pociągu w ruchu, wieje pod pewnym kątem z boku, ze strony prawej lub lewej, a że pociąg idący po stale umieszczonych szynach nie może się zwrócić w kierunku linii wiatru, jak to czyni naprzykład statek na wodzie lub ptak w powietrzu, więc prawie zawsze w ciągu drogi pociąg podlega parciu wiatru pod pewnym kątem wymierzonemu na cały jego przekrój poprzeczny i tylko jeżeli kąt ten jest mały a szybkość wiatru niewielka, oraz jego kierunek przyspieszeniu biegu przychylny, zwiększenie tarcia może się równoważyć przyspieszeniem, jeżeli zaś kąt jest większy i szybkość wiatru większa, wtedy zawsze ruch pociągu się opóźnia, chociaż bardziej w jednym aniżeli w drugim kierunku, bo wtedy nawet w razie wiatru który na pozór powinienby popychać pociąg, zwiększenie tarcia bardziej ruch jego hamuje, niż go parcie powietrza przyspieszać może.

Drugim względem zasługującym na uwagę jest to, że linie kolei zazwyczaj tylko na małych przestrzeniach są liniami poziomemi, w ogóle zaś mają spadek większy lub mniejszy. Otoż jeżeli wiatr boczny wieje na pociąg przebywający taki spadek pod górę, to tarcie zwiększa się w stosunku daleko znaczniej niż gdyby pociąg szedł po linii poziomej, więc opóźnienie pociągu zwiększać się również musi bardzo znacznie, gdy tymczasem, gdy pociąg schodzi ze spadku, maszynista zatrzymuje wówczas lub zmniejsza siłę pary, w razie większego spadku zapuszcza hamulec, czyli zwiększa tarcie, a wiatr swoją drogą także, choć w mniejszym stopniu do zwiększenia tarcia się przyczynia, więc opóźnienie również następować musi.

Dałoby się niezawodnie, przy specyalnej znajomości przedmiotu, wynaleźć jeszcze inne przyczyny, które możebny wpływ przyspieszający wiatru na pociągi kolei żelaznych zmniejszają lub znoszą zupełnie, a powiększają wpływ opóźniający, sądzimy jednak, że i to cośmy powiedzieli wystarczy na wyjaśnienie, dlaczego wiatr dość często opóźnia pociągi a nie przyspiesza ich nigdy, oraz na wytłómaczenie jakim sposobem się to dzieje, że pociągi idące w przeciwnych kierunkach doznają jednocześnie opóźnienia wskutek wiatru.

Dla zapobieżenia tym opóźnieniom dotychczas, o ile nam wiadomo, nigdzie nie wynaleziono środka. Środkiem tym byłoby wynalezienie przyrządów lub sposobów, za pomocą których maszynista mógłby wiedzieć w każdej chwili, jakiem jest parcie wiatru na pociąg, tak jak wie ze znaków umieszczanych przy drodze, czy pociąg schodzi ze spadku, czy idzie pod górę, czy też po linii poziomej się posuwa. W takim razie, maszynista byłby w możności regulować siłę pary odpowiednio do tej przeszkody, tak jak ją reguluje odpowiednio do poziomu drogi. Dopóki takie przyrządy lub sposoby wynalezione nie zostaną, pokonywanie siły wiatru musi być pozostawione instynktowi i praktycznemu doświadczeniu maszynistów, a że te niekiedy zawodzą, tego im za złe brać nie podobna.

Wł. Sabowski.

Od Redakcyi.

Panu J. W. w Krakowie. Adres p. Romana Zawilińskiego: Kraków, Rynek, Nr. 28. III. piętro.

Panu B. H. w Kawlorach. Nie możemy dać stanowczej odpowiedzi nie odczytawszy rękopisu.

Panu A. T. w Sanoku. Ekspedycya „Tygodnia“ odbywa się w sobotę, prenumeratorowie powinni otrzymywać go w niedzielę. Jeżeli poczta sanocka dostarcza Panu w piątek, jej więc to jest winą, gdyż niezawodnie w niedzielę odbiera numera.

Treść Nr. 30.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.